

Wł. Morzyński

PRZEGLĄD LWOWSKI.

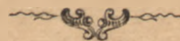
Pismo dwutygodniowe
poświęcone sprawom
religijnym, naukowym, literackim i politycznym.

ROK PIERWSZY.

1. Września 1871.

Poszyt siedmnasty.

(Fide ac veritate.)



Spis rzeczy:

- | | |
|---|---|
| 1. Europa w chwili pogromu (dokończenie) Z. L. Dębickiego. | 7. Korespondencye Przeglądu: I. Z Rzymu. II. Z Krakowa. |
| 2. Lamartine (studium literackie). Ad. Kretchowieckiego. | 8. Kronika: I. Tron złoty dla Ojca Świętego i list do Margr. Cavaletti. |
| 3. O metodzie scholastycznej. (C. d.) X. Z. G. | II. O klasztorach rzymskich. |
| 4. Karta wspomnień. Berlicza Sasa. | III. „Unia.” |
| 5. Czy Jezuici zgubili Polskę? (C. d.) | IV. Z Litwy. |
| 6. Przegląd dzieł historycznych. O pieczęciach dawnej Polski i Litwy. Teo- fila Żebrawskiego. | V. List Cavoura do Mazziniego. VI. Fanatyzm antireligijny. VII. Powinnowanie Gazecie Narodowej. |

L W Ó W.
NAKŁADEM REDAKCYI.
Z Drukarni Karola Budweisera.
1871.

Rozpoczętą w zeszycie dziesiątym historyczną rozprawę p. t.

CZY JEZUICI ZGUBILI POLSKĘ?

będziemy bez przerwy zamieszczać w następnych numerach.

I. Opinia publiczna i Jezuici. — Kto są Jezuici. — Czy instytut uległ jakiej zmianie. — Summa czyli treść instytutu — Rząd Jezuitów jest-li despocytny. — Ślepe posłuszeństwo i kosmopolityzm zakonu. — Cele i widoki. — Zarzuty wzajemnego szpiegowania, zwolniałej nauki moralnej, niedozwolonego handlu królobójstwa.

II. Dla czego Jezuici zajmują się edukacją młodzieży. — Podwójne zadanie edukacji jezuickiej. — Jak zakon kształcił profesorów i nauczycieli. — Antynarodowość systemu jezuickiego. — Dzisiejszy system preparand nauczycielskich. — Skład szkół jezuickich. — Profesorowie, i przedmioty w nich wykładane. — Dla czego uczono tyle łaciny. — Klasycy w szkołach dzisiejszych i jezuickich. — Zarzuty względem zaniedbania historii literatury i umiejętności ścisłych. — Kilka uwag nad nowym systemem naukowym (pruskim). — Scholastycezm i Jezuici. — Prace naukowe Jezuitów. — Strona moralna edukacji jezuickiej. — Emulacya, koncertacye i kongregacye. — Popisy, dyalogi, sądy, prawne dysputy. — Zarzuty bigoteryi, szpiegowania i kar cielesnych.

III. Przyczyny upadku Polski. — Pierwiastki demoralizujące w narodzie jeszcze przed wstąpieniem Jezuitów na ziemię polską. — Czy Jezuici mogli przeszkodzić rozwojowi tych pierwiastków. — Władysław IV i Jezuici. — Demoralizacya narodu przez Jezuitów — Zarzuty księcia Adama Czartoryskiego i odpowiedź na nie — Panegiryki jezuickie pod względem moralnym — Zasługi Jezuitów na polu moralności religijnej.

IV. Uwagi nad okresem piątym literatury polskiej czyli nad epoką jezuicką. — Klótnia Jezuitów z Akademią krakowską czy może stanowić epokę — Odkąd datuje się upadek Akademii krak. i przyczyny jej upadku — Akademia Wileńska i Stefan Batory — Spór z akademią krakowską i Jezuitami o Szkołę poznańską. Historia klótni akademii krak. z Jezuitami — Otwarcie i zamknięcie akademii lwowskiej — Przyczyny upadku literatury w XVII i XVIII wieku — Anachronizmy w sądach i krytyce literatów naszych — Jezuici i oświata na Litwie — Florydacyzm i jego przyczyny — Makaronizmy — Literatura XVII i XVIII wieku nie ma jeszcze dotąd swojej historii.

V. Wpływy Jezuitów na politykę królów i państw. — Jezuici spowiednicy panujących. — Czy Jezuici mieli jaki udział w polityce Rzeczypospolitej. — Possewin i wojny moskiewskie króla Batorego. — Jezuici i Zygmunt III. — Uwagi nad Zygmuntem III. — Jezuici w sprawie Dymitrów Samozwańców. — Polityka króla Sobieskiego. — O. Wota i król Jan. — Zasługi polityczne Jezuitów w Polsce.

VI. Nietolerancya i fanatyzm Jezuitów. — Czy w Polsce były kiedy jakie prześladowania religijne. — Zygmunt III i różnowiercy. — Władysław IV i nietolerancya narodowa. — Jan Kazimierz i wypędzenie Aryanów. — Fanatyzm narodowy. — Zkąd pobożność Polaków XVII wieku. — Spalenie ateusza. — Sprawa toruńska. — Uchwały sejmów z lat 1717, 1733. 1736 — 1766. — Kozackie wojny czy były owocem nietolerancyi i fanatyzmu jezuickiego.

EUROPA

W CHWILI POGROMU.

(Dokończenie.)

III.

O Francyi.

Zdawało się, że militarny pogrom Francyi ma w sobie coś tak nadzwyczajnego, tak przechodzi wszelką miarę znanych wojennych faktów, że jego pamięć jako bezprzykładnego fenomenu, pozostawi na długie lata niezatarte wrażenie. Minęło kilka miesięcy, a powstała straszliwa burza, która kazała zapomnieć i o słabości zwyciężonych, ich hańbie i upadku — i o zwycięzcach bez chwały.

Upadek Francyi zobojętniał dla świata, przerażonego upadkiem społeczeństwa, cywilizacji. Jakieś potęgi zagłady z większą bieżącą szybkością niż myśl i ich rozpoznanie zdoła za nimi podążyć. Lecz między kataklizmem wojennym Francyi a kataklizmem rewolucyjnym jest tak ścisły związek, że dopiero razem zestawione dwie te katastrofy objaśniają się wzajem. Nie byłoby komuny paryskiej, socjalistycznej wojny domowej, bez przegranej na polu walki z wrogiem, bez obalenia obcą potęgą *status quo* wewnętrznego; ale również nie byłoby przegranej, nie spadłby ten straszny srom na naród, który chwałę wojenną tak wysoko stawiał, gdyby w jego łonie nie nurtowały te żywioły, które miały ostatecznie wydać z siebie komunę. W czasach kapitulacji Sedanu, Metz i Paryża, można było jeszcze wołać rozpaczliwie: czyliż o Panie, oddałeś narody na prosty traf, na wypadek najhazardowniejszych wojen?! Czyliż istotnie działa i kartaczownice, to ostatni wyraz świata rządzącego się tylko prawami materii i uznającego siłę za najwyższego regulatora i sędziego dziejów?! Czy dość już dziś dwóch bitew przegranych, aby jakiś naród lub państwo u szczytu potęgi,

wpływu i wielkości stojące, runęło w gruzy?! Po rewolucyi paryskiej, po wszczętej wojnie domowej, w obec sztandarów wywrotu społecznego, niepodobna już było więcej takiego pytania zadawać. Z upadkiem imperyalizmu, zerwano z Francyi ten płaszcz jaskrawy z wielkich fraz uszyty, który dopomagał złudzeniu optycznemu, że świat upatrywał potęgę i wielkość tam, gdzie się odbywał proces rozkładowy. Łachman bonapartyzmu miał niezaprzeczenie tę wartość, że osłaniał wewnętrzną zgniliznę; gdy został zdarty, przedstawił się naród nie gorszy od innych, ale najbardziej, najwydatniej reprezentujący ducha epoki i stan moralny społeczeństw europejskich, najmagnetyczniej wciągający w siebie obok dobrego i wszystko złe, przedstawił się w nagości, ale w nagości odstraszał, bo owrzodzeniem okrytej, bo uwydatnił, że w organizmie narodowym już pojedyncze członki razem się nie trzymają, że serce narodu, to jest uczucie, patriotyzm, wiara, nie jest już regulatorem obiegu krwi w żyłach tego materializmem opuchłego cielska; głowa, to jest rozum, zmysł polityczny, cywilizacja, nie spełniały normalnie swoich już funkcji, jak w owem widzeniu Dziadów Mickiewicza, nogi i ręce od tułwa odstają, jak węże się wiją i odlatują jak padalce we wszystkich kierunkach.

Nie, takiego upadku żadne działa, kartaczone, żadna strategia i przewaga militarna sprowadzić nie może — złe tkwiło głębiej, gangrena i zgnilizna inne miała źródło, a nie wypływała tylko z pogromu materialnego, ze zwycięstwa siły, — sprowadziły ją przyczyny moralne, duchowe — również jak te przyczyny stały się powodem bezbronności w obec wroga. Więc nie materya rządzi światem, nie kartaczone i działa rozstrzygają o losach narodów, ale jakaś wyższa myśl, jakaś nieubłagana loika mająca fatum nieuniknioną, a jednak sprawiedliwą, a jednak mającą modłę duchową, moralną, według której wydaje swoje wyroki. My jej nie możemy inaczej nazwać, tylko opatrnością, bo wypróbowani w szkole nieszczęść własnej ojczyzny, dojść powinniśmy byli do ukorzenia się przed wyrokami Opatrzności, nawet wtenczas, gdy promienia miłosierdzia Bożego nasz wzrok dostrzedz nie jest już zdolny.

Dalecy jesteście od sądzenia narodu, który zawsze najsympatyczniejszy dla nas z narodów europejskich, w dzisiejszem nieszczęściu bardziej na współczucie niż potępienie zasługuje. Nie dociekać nam przeto, czy to chłosta czy tylko próba, nam, którzy niezdolni dotąd po stuletniej niewoli na to proste odpowiedzieć za siebie pytanie.

Lecz cokolwiek bądź, upadek Francyi, to nowy, wielki przykład dziejowy. Naród, który dokonał królobójstwa, a dokonał go, jeżeli się godzi użyć tego porównania, jak naród żydowski dokonał kiedyś bogobójstwa, przyjmując solidarnie dziejową odpowiedzialność, wołając niemal tak samo: „niech ta krew spadnie na nas i na dzieci nasze” — naród, który ocknienia swego do wolności użył na banchanalie rewolucyi, na mordy i zniszczenia, który rzeź współobywateli do zasady politycznej podniósł, który następnie zatracił w sobie pojęcie władzy i po pięć kroć, nie tylko, że zwałił rząd z swego łona powstały, ale wstrząsnął podstawami społeczeństwa; naród, który, jak niegdyś za Voltaira podniósł sztandar negacyi religijnej, tak później dodał do niego jeszcze nowe bluźnierstwa i rozszerzył go do negacyi społeczeństwa, który zerwał szluz rewolucyi, a obok tego przodował światu w materyalizmie — ten naród, mający wielkie przy tem zasługi i wysokie cnoty, według loiki historycznej i sprawiedliwości dziejowej, przebyć był winien straszne próby, miał się stać swoim upadkiem takim przykładem światu, jakim był swoją potęgą i świetnością.

Francya zanadto w całym przebiegu historycznym przedstawiła nam walkę dwóch pierwiastków, najszczytniejszej afirmacyi i najohydniejszej negacyi — abyśmy mogli przypuszczać, że ta walka zakończona zwycięstwem złego i upadkiem, abyśmy mogli wątpić, że ten naród odnajdzie znów życie, odrodzenie w tem, co stanowiło dotychczas jego duchową potęgę, w tem, co od Ludwika św. snuje się nieprzestannie do dni naszych, w tem, czem dziś jak ongi Francya zasługuje na nazwę najstarszej córki Kościoła, a z czem się wiążą nie tylko obowiązki wobec Kościoła, ale wysokie posłannictwo w chrześcijaństwie i w dziejach.

Mówiąc o moralnych przyczynach upadku Francyi, musimy podjąć już poruszoną kwestyę, będącą nawet przedmiotem teoretycznej polemiki, o wpływie dziejowym i moralnej wartości tak wysoko wznoszonych praw człowieka 89 r.

Trzeba nadwyczaj krótkiego wzroku i poziomego sądu, aby nieszczęścia i upadek Francyi zwać wyłącznie na barki owego, jakżeśmy go już nazwali, karbonara w cesarskiej koronie. Rządy cesarza Napoleona III były takimi, jakie znieść i ścierpieć mogła jeszcze zdeorganizowana Francya; demoralizowały, szerzyły zepsucie, bo tylko demoralizacją można było utrzymać władzę wśród społeczeństwa w negacyi władzy wychowanego. Napoleon III snuł dalej przędzę z tej samej kądzieli, rozwijał on konsekwencye i ostateczne

następstwa zasad 89 roku; demokracja drugiego cesarstwa obok absolutyzmu rządów osobistych, zasada głosowania powszechnego wprowadzona jako jedyna podstawa prawa międzynarodowego, oto właśnie ostatnie słowo, ostatnie konsekwencje prawidłowo przeprowadzone tych zasad, które kolejną rewolucyjną doprowadzić muszą do 1793 lub 1871 r.

Rok 1789 nie przestał być nie tylko dla Francji, ale dla całej Europy XIX wieku niejako dziejowym punktem wyjścia. Jakkolwiek my w Polsce mieliśmy o wiele szlachetniejszą i wzniolejszą ideę w konstytucji 3go maja 1791 roku — nie przestajemy jeszcze często za szczyt dążeń społecznych uważać owej pierwotnej ewangelii rewolucyjnej francuskiej, z którą nic w ustroju naszego społeczeństwa ani w dążeniach politycznych nie mamy wspólnego, gniewamy się przeciw, gdy kto nawet wobec takich jak dzisiejsze owoce historyczne do owego drzewa za święte przez bałwochwalców wieku uważane, siekierę krytyki przyłoży.

Nie myślimy zaprzeczać wielkim społecznym i dziejowym rezultatom, jakie wynikły nie tylko dla Francji ale dla Europy z przeobrażeń pod hasłem owych zasad 89 r. Któż kiedy z katolików przeczył równości wobec prawa, lub zniesienia niewoli i poddaństwa nie uważał za konieczność moralną, za wielką sprawiedliwość dziejową, za wykwit i naturalne następstwo idei chrześcijańskiej. Ztąd jednak nie wypływa, aby katolicy mogli przyjąć jakkolwiek sojusz z rewolucją, z której często jak z każdego dopustu Opatrzności wyprowadza jakąś dla postępu dziejowego korzyść; ztąd również nie wypływa, aby owe prawa człowieka mieściły w sobie coś więcej nad katechizm rewolucyjny, krzywiący tylko normalny rozwój dziejowy. Streszczenie tych zasad w epoce przejściowej niewątpliwie musiało mieć swoje posłannictwo, choćby tylko posłannictwo destruktcyjne — ale na nich oprzeć stałego porządku rzeczy, z nich wysnuć całego socjalnego systemu niepodobna.

Najpierw błędem jest sądzić, jakoby w prawach człowieka nowe postawiono i stworzono zasady, jakoby wolność, równość i braterstwo wśród chrześcijańskich społeczeństw dopiero od stu niespełna lat zostały światu objawione. Zasady te czy fakta, bo najpierw odróżnić należy zasadę, t. i. prawdę jeszcze nieziszczoną, ale będącą dążeniem ludzkości, od faktu, który z natury rzeczy tkwi w ustroju ludzkich stosunków — otóż zasady te czy fakta, jak wszystkie prawdy moralnego dotyczące porządku, są odwieczne; jedne, jak równość, braterstwo, płyną z ewangelii, z zakonu nani-

z góry danego, — inne, jak wolność, są prawem przyrodzonym świata, myślą Stworzyciela również w objawieniu zatwierdzoną. Całe dzieje chrześcijaństwa stanowią jeden ciąg walk o ziszczenie i zastosowanie tych dążeń, lub o ich zgnębienie. Szukać wolności, równości i braterstwa jedynie w zasadach 89 r. mogły tylko umyśły zrywające ciągłość idei dziejowych, wypierające się przeszłości a nieświadome przyszłości, do której dąży świat.

Dążenia te odwieczne pomięszala tylko rewolucya w zasadach 89 roku, odwróciła ich naturalny szyk i związek, a walcząc słowami i nazwą, przyczyniła się do zatarcia pojęcia tego co jest istotną wolnością, równością i braterstwem. Najpierw wolność i równość stanowią sprzeczności. Wolność bowiem, ta idea dziejowa z etycznego pojęcia wolnej woli przez chrześcijaństwo ustanowionej wykwiła, tam jest niemożliwą, gdzie inna zasada ewangelii, przechodząca naturę ludzką, sprzeczna porządkowi świata równość, postawiona jako cel dziejowy. Równości w stosunkach ziemskich, doczesnych, przeprowadzić wbrew naturze, inna potęga nie zdoła, jeno miłość. To też po za bliźnim niema równości, jest tylko przewrót społeczny. Citoyen rewolucyjny, to nędzna karykatura pojęcia bliźniego. Po za zakresem miłości chrześcijańskiej równość możliwą jest jeszcze wobec prawa, bo prawo tak jak i religia ogranicza wolną wolę człowieka i nakłada pęta naturze ludzkiej. Początek prawa jak i religii jest etyczny, z idei nadprzyrodzonej, bo z idei sprawiedliwości wynikły i tak z wiarą związany, że tam gdzie bóstwo zaprzeczone, tam wszelkie prawo się obala i niema żadnej podstawy. Równość przeto wprowadzona do prawa, stała się jeszcze większem upodobnieniem zakonu świeckiego, cywilnego z zakonem duchownym, z religią. Oba te zakony nie znają już wyjątków i różnic, znają tylko ludzi, religią, aby ich zbawiać i zarówno podnosić, prawa, aby ich karać.

Lecz to podobno już kres dążenia równości, dalej posunięta, staje się gwałtem przyrodzonego porządku rzeczy, gwałtem natury ludzkiej i społecznej a zwłaszcza przeciwieństwem wolności.

To też nie było epoki, w którejby bardziej zatraconem było pojęcie wolności jak w naszej. Cały kontynent europejski przechodził ustawicznie w XIX wieku z pod bata despotyzmu pod sroższy ucisk rewolucyi. Rządy i rewolucyoniści naprzemian niwelowali społeczeństwa, ciągle wstrzymywali wolność indywidualnego wzrostu, a zwłaszcza burzyli wolność instytucyi, jedyną pewną rękojmię trwałości gmachu społecznego. Żaden zaś naród bardziej nad Francję

nie był dotknięty tą plagą dwóch despotyzmów kolejno po sobie następujących.

Gdybyśmy chcieli rozbierać ów wpływ zasad 89 roku na społeczność francuską, moglibyśmy tylko słabą podać parafrazę uwag w *Przeglądzie* już zamieszczonych „O przyczynach upadku Francji“ znakomitem skreślonych piórem, zupełnie bowiem poglądy w nich rozwinięte, spotykają się z naszym zapatrywaniem.

Straszny moralny rozkład i upadek narodu i społeczności francuskiej dopiero po pogromie uderzył w oczy świat. Jeżeli schlebianie powodzeniu wiedzie do podłości, to surowość sądu dla zwalczonych ma swoje dobre strony. Dziś dopiero gorszymy się tem, cośmy przed chwilą podziwiali i naśladowali. Dopiero w rezultatach uderza nas antyteza surowych obyczajów niemieckich z rozpamiętaniem rozpusty francuskiej, bo Europa XIX wieku, jeżeli jeszcze z jakiego stanowiska zdolna jest oceniać moralność, to wyłącznie ze stanowiska utylitarne. Sami Francuzi, którzy dawne dworactwo królom przenieśli do podlejszego jeszcze dworactwa gminowi, zaczynają surowo potępiać kłamstwo, błagę, fanfaronadę, nie składając wprawdzie jeszcze dowodów reformy pod tym względem. Gdyby przypadkiem szczęście wojenne było Francji posłużyło, gdyby był się znalazł człowiek, a człowiek zawsze jest przypadkiem, któryby zamiast pod Sedan był zaprowadził hufce francuskie pod Berlin — byłibyśmy dziś podziwiali bardziej niż kiedykolwiek fanfaronadę i błagę francuską, naśladowali rozpustę Paryża i wierzyli we wszystkie frazesa rewolucyjno-socjalistyczne, jakimi Francja karmi Europę od 80 lat.

Upadek Francji jest przeto przegrana niemoralności, jest bankrutstwem zasad 89 r., śmiercią Francji rewolucyjnej. — Jak wulkan, który zrazu wyrzuca z siebie ogień rozwidniający horyzont, a po zagaśnięciu tego fajerwerku zalewa okolicę wszystko niszczącą rozpaloną lawą — tak Francja iskier i płomieni rewolucyjnych idei wydać z siebie nie zdoła, ale przepalony jej krater grozi światu zalewem lawą komunizmu wszelkie organiczne życie w popiół i spaleniźnę zamieniającą. Komuna jest już wyrazem tego żywiołu zniszczenia dla zniszczenia; a po takim wylewie zwykły zastygąć wulkan przepalony do dna; wprawdzie rozpalonej lawy jeszcze nie brak nie w tym jednym wulkanie do zalania całej Europy.... Jestżeli to zgon narodu, który bluźnił Bogu, czyli też zaranie odrodzenia najstarszej córki Kościoła? Poeta nasz, którego wieszczę słowa ustawicznie nasuwają się na usta, nazwał gdzieś trumny koleb-

kami. Francya rewolucyjna, Francya 89 r., Francya Napoleonów, Francya wicherząca światem w imię apostołstwa nowych idei, skończyła w mękach i bólach, a umierając sromotnie, wydała z siebie na świat potwora socjalistycznej europejskiej rewolucyi. Ludzie, którzy wyobrażają sobie katolicyzm za religię przeszłości i tendencyjnie dowodzą, że katolicy pogodzić się z ideą przyszłości nie potrafią, wiążąc się tylko z formami minionych wieków, już chcieliby podchwycić, że wróżymy zwycięstwo białej Henryka V chorągwi. Nie, szanujemy tę chorągiew jako symbol prawowitości mającej moralną i religijną podstawę i początek w idei władzy z woli Bożej, szanujemy tego, który wśród ogólnego, rzecz można postępu i wyuzdania żywiołów przy chorągwi swych ojców dotrwał wiernie, nie łudząc narodu pochlebstwy, gotowy raczej połamać swój sztandar niż go zbrudzić odstępstwem. Ale prawowitość dawnych wieków nie jest jedyną dla nas formą chrześcijańskiego społecznienia. Kościół nie przywiązuje się do żadnej wyłącznie formy rządu i społeczeństwa, pogodzić się i ubłogosławić może każdy nowy kształt społeczności. byle on miał za główną podstawę ideę Boga. Przeto nie wskrzeszenie dawnej, legitymistycznej Francyi, ale Francyi chrześcijańskiej, jest tem więcej pożądane, że w stanie *tabula rasa*, w jakim się dziś ten naród pod względem organicznym i moralnym znajduje, zanim jakkolwiek stały system polityczny utrwalić się zdoła, musi się dokonać zwrot moralny, odbudowanie fundamentów, odrodzenie ducha.

Czy w powszechnym upadku i rozkładzie są jakiegokolwiek znamiona, mogące rokować podobne odrodzenie? Słyszeliśmy zadziwienie i skargi, że w czasie wojny zewnętrznej i wewnętrznej, stronnictwo katolickie (bo już do tego doszło, że we Francyi katolicy zowią się stronnictwem) nie dało dowodów życia. Zarzut to bolesny, ale sądzimy, że nieuzasadniony dostatecznie. Jakież katolicy w czasie najazdu, który wywołała polityka cesarstwa, odtrącająca zawsze stronnictwo katolickie, mogli dać dowody życia, skoro władzę uchwycili ludzie niewątpliwej antireligijnej barwy? Żuawy papieżcy Charetta, chłopci z Bretanii, synowie wielkich rodów, braciszkwowie zwani nieuczkami, byli jedynymi bohaterami tej haniebnej wojny. w której nagle patryotyzm i waleczność francuzka zupełnie zatartą została. W czasie rządów Komuny, w czasie ogólnego przewrotu, to co miało w sobie moralną żywotność, to zatwierdzić się tylko mogło męczeństwem i bierną ofiarą. To też zatwierdzenie tej żywotności katolicyzmu złożyli sami hersztowie Komuny, paląc

i rabując kościoły; więzząc arcybiskupa i kapłanów jako zakładników sprawy porządku społecznego, wreszcie rozstrzeliwując. W czasie kataklizmu dodatne działanie, jakiego oczekiwać może świat od katolików, we Francji jest niemożliwe. Zostaje tylko braterstwo śmierci.

Praca cicha odchrześcijańszczenia narodu spogańszczonego rozpoczęła się od pół wieku, ale kto wie, czy przy wielkiej usilności i poświęceniu druga połowa stulecia wystarczy dla naprawienia zniszczeń moralnych, tak głęboko, bo do dna ludu sięgających.

Ważnym jest jednak objaw, że w obecnej chwili, kiedy w Niemczech, we Włoszech, w Austrii, zgoła w całej Europie, walka religijna przeciwko Kościołowi z największą gwałtownością się toczy, Francja stawiając niepewne kroki na nowej drodze, mniej niż kiedykolwiek daje przystępu tej walce. Owszem, rozprawy w Zgromadzeniu narodowym o kwestyi rzymskiej nie mogły w obecnym położeniu Francji korzystniej wypaść i lepszego dać świadectwa poczucia interesów katolickich ¹⁾. Gdyby sprawę interwencji w kwestyi rzymskiej miał ktoś odwagę wytoczyć w parlamencie austriackim, na jakież szyderstwa, pociski i bluźnierstwa zostałyby wystawiony. Porównajmy mowę kanclerza austriackiego z mową pana Thiersa, a przekonamy się, o ile wyżej stoi jeszcze Francja od Austrii w poczuciu moralności politycznej, w poczuciu solidarności interesów katolickich, bo ostatecznie nie można cynicznych wyrażeń kanclerza w tej kwestyi rzucić na jego wyznanie i protestantyzm, jak nie można słów p. Thiersa przypisać jego osobistemu religijnemu usposobieniu ²⁾.

¹⁾ Wybaczysz szanowny autor, że się w tym punkcie zupełnie z Nim zgodzić nie możemy. Nikt nie żądał od Zgromadzenia narodowego wypowiedzenia Włochom wojny — ale spodziewać się należało, że gwałt popełniony na Papieżu, wywoła przynajmniej odpowiedni protest i napiętnowanym należyście zostanie.
(Przyp. Red.)

²⁾ Ś. p. ks. Władysław Sanguszko opowiadał nam, że przed 40 laty miał długą rozmowę z p. Thiersem o Kościele katolickim. Autor historii rewolucji i konsultatu, w pismach swych nieprzyjaciel Kościoła, utrzymywał wówczas, że katolicyzm ma tylko 10 lat istnienia przed sobą. Nie dawszy następnie w pismach swych dowodów nawrócenia, bronił jednak sprawy rzymskiej ze stanowiska polityki francuskiej i za Napoleona III i dziś. Nie osobiste przeto przekonania, ale interes moralny, duch Francji stworzył obrońcę niepodległości Ojca św. z męża mniej niż wątpliwych zasad religijnych.

(Przyp. Autora.)

Nie chcąc się łudzić, nie liczymy jeszcze na spieszny ogólny zwrot religijny we Francji, ale zaprzeczyć się nie da, że jest związek mistyczny pomiędzy dziejowym charakterem i posłannictwem narodu a jego interesem politycznym. Bardziej może jeszcze w tej chwili przez interes polityczny niż z powszechnego poczucia, Francja musi się utrzymać i zatwierdzać na stanowisku katolickim niż kiedykolwiek, bo ogólny charakter dziejowy i posłannictwo nie przestało być katolickim. Jednostka we Francji straciła wiarę w skutek ciągłej demoralizacji, całość narodu nie straciła cechy katolickiej, społeczność rozbita, jeszcze się nie wyzwoliła z ateizmu, naród jako indywidualność moralna, jeśli ma istnieć i uchronić się od samobójstwa Komuny, coraz silniej uwydatniać musi dawny swój charakter katolicki.

Nigdzie ateizm bardziej nie przeszedł w systemat, głębiej nie wniknął jak we Francji, lecz też już wydał swoje rezultata. Kiedy w środkowej Europie rozpoczynają dopiero eksperymenta z bezwyznaniowością, we Francji nawet ludzie pozbawieni wiary, do wyznaniowości powrócić muszą dla ratunku społeczeństwa. Walka przeto religijna najmniej dziś zagraża we Francji. Tak w kwestyi rzymskiej, jak w kwestyi dogmatu nieomylności nie zstąpi Francja ze stanowiska katolickiego.

Do odrodzenia wewnętrznego, religijnego, nie przeczmy, że jeszcze daleko, równie daleko jak do odrodzenia i odbudowania społecznego. Dwie te prace muszą iść razem, a właściwie druga może być tylko następstwem pierwszej. Czy złe nie zaszło za daleko, czy już nie zapóźno, czy dzieło zniszczenia nie ma się do ostatecznych swoich konsekwencyj dokonać, czy Komuna nie odrodzi się i nie rozłoży na atomy tego, co już nie jest organiczną całością, czy wybuch nihilizmu nie przemieni Francji w pustynię?

Są to zagadnienia, jakie bardzo dający się wytłumaczyć, pesymizm nasuwa. Cykl cywilizacji nowożytnej zdaje się zbliżać do zamknięcia; Atylle z wnętrza narodów cywilizowanych powstałe może mają dokonać dzieła do gruntu — a odrodzenie znów, jak na początku chrześcijaństwa, z ruin i zgłiszczów kiedyś się rozpocznie.

Lecz, czyliż tych zgłiszczów nie dosyć — czyliż nie godzi się już upatrywać tam wśród ruin, kolebek? To pewna, że choroba Francji nie jest lokalną, jest europejską, że zarazie ulegają zwycięzcy i zwyciężeni — a kataklizm dotyka całej współczesnej cywilizacji.

Jeżeli jednak wcześniej świat ma się z niego podźwignąć ku niezachwianym prawdom wiary, to zdaje nam się w wyrokach Opatrzności czytać imię odrodzonej Francji katolickiej, będącej potrzebą moralną ludzkości, chrześcijaństwa, moralności dziejowej, tak jak na horyzoncie wschodniej Europy błyszczy przed nami promiennymi głoski imię Polski katolickiej.

IV.

Wielkość Prus — walka religijna.

Cześć, jaką w społeczności zmateryalizowanej powodzenia szczególnie wywołują, musiała się rozwinąć tem bardziej, im silniejsze było wrażenie kataklizmu we Francji się dokonywującego. Francja objawiwszy się w wojnie zewnętrznej lekkomyślną, małoduszną, niepatriotyczną i zdeorganizowaną, złożywszy zwłaszcza w wojnie wewnętrznej dowody odstępstwa, zdrady, najpotworniejszych dążeń, najohydniejszych szkarad — zrobiła wszystko, aby usprawiedliwić najazd, aby podnieść wobec Europy zwycięstwo pruskie, któremu bohaterstwa nie dostawało i okryć go blaskiem idei porządku, karności, rozumu i spokoju. Dziwić się tylko należy, że dla Prus nie podniosła wrażliwa opinia Europy wyżej jeszcze czci, niż to czynią wiedeńskie organa; że świat nie uderzył jeszcze głębiej czołem i bezwarunkowo przed żelaznym hrabią, przed żelazną organizacją militarystyki pruskiej, przed zwłaszcza żelaznym sumieniem dziejowcem szczepu germańskiego, to jedynie przypisać należy tym pozostałym w opinii europejskiej z dawnej jeszcze epoki szczątkom idealizmu. Brak było u Prusaków wielkości indywidualnej, geniuszu jak Napoleon, zgoła tego co podbija wyobraźnię. Wielkość i potęga Prus, mimo wszystkich pochlebstw zostawiła serca i wyobraźnię zimnymi, nieudolna wydać epepei; przemawiała ona do tej władzy umysłowej, która według fizyologów materialistycznych ma wyłączny rozwój w naszym pokoleniu i stopniowo według ich spostrzeżeń ma zastąpić wszystkie inne władze duszy, sprowadzając je do samego rozsądku i rachuby.

To też ludzie wyłącznie rozsądku i rachuby, uznający tylko materyalną na świecie potęgę, w jakimkolwiek naród i społeczność, do której należą stoi stosunku do ojczyzny Lutra, Hegla i Bismarka,

utworzyli już cały systemat dziejowy i polityczny, opierając go na czci iglicówek pruskich.

Związałyśmy te trzy imiona Lutra, Hegla i Bismarka, bo pomiędzy nimi zachodzi blizkie powinowactwo, a raczej stopniowanie. Zwycięztwo Prus, to zwycięztwo protestanckiego ducha, to zwycięztwo bardziej jeszcze heglizmu politycznego. Zbyt szeroko potrzebowalibyśmy się rozpisywać, aby wykazać i udowodnić to powinowactwo, wolimy przeto odesłać czytelnika do naszych spostrzeżeń o wpływie panteizmu na politykę i społeczność przed zwycięstwem pruskim zrobionych ¹⁾.

Nie chcemy przeczyć potędze i wyższości nawet moralnej Niemiec nad Francją, nie chcemy zapoznawać wysokich zalet i dodatków przymiotów narodu niemieckiego, zarówno jak materialnej doskonałości politycznej i militarnej organizacji państwa pruskiego. Istotnie jest to ostatni już rząd w Europie, ostatnia władza regularnie funkcjonująca na kontynencie, jedyne państwo świadome celów, a pewne środków, jakimi działa. Śnać Europa potrzebowała jeszcze przejść przez tę epokę przewagi jedyne politycznego organizmu, który się oparł rozkładowemu wpływowi wyobrażeń, podkopujących i obalających wszystko. Trzeba jednak rozróżnić dwa czynniki, składające się na tak potężne zwycięztwo Niemiec: narzędzie i materiał, wartość materialną organizacji państwa pruskiego będącego narzędziem, i wartość moralną narodu niemieckiego będącego materiałem, którego Prusy użyły.

Stawię tutaj pytanie, czy zasługa zwycięztwa, odzierżenia przewagi europejskiej należy się polityce państwa pruskiego, czy dzielności i potędze wewnętrznej narodu niemieckiego? Sądzę, że nie ulega już wątpliwości, iż skutki, rezultata tych zwycięztw zbiera nie szczerp germański, nie idą one na pożytek rozwoju narodowego Niemiec, mimo osiągnięcia owego nowoczesnego ideału jedności narodowej, ale że koronują one dzieło Fryderyka Wgo. Naród niemiecki, który dla cywilizacji europejskiej tak wielkie przysporzył nabytki i takie potężne oddał jej usługi we wszystkich sferach pracy, ducha, rozwoju ekonomicznego, nauki i sztuk — nagle znajduje się wyrzuconym z kolei, w jakiej się rozwijał przez wieki — pchnięty na drogę wielkości politycznej, przewagi oręża, na drogę centralizacji — zgoła przeobrazić się ma i przenieść z nowoczesnej Hellady o wielu ogniskach życia w nowożytną Romę.

¹⁾ O prądach wieku w *Przeglądzie Polskim* r. z.

„*Jetzt werden wir „la grande nation“ spielen*“ — mówił niedawno jeden z uczonych mężów Germanii, przewidując zgubne skutki dla rozwoju narodowego i dla jego przyszłości z tej nadzwyczajnej przemiany. Znana to kolej, na jaką szczerp germański wtrąciły zwycięstwa za Renem. Rzeczy można, że za każdym z tych zwycięstw Niemcy przebywały wielką rewolucję. One, wśród których dom cesarski Habsburgów nie przeprowadził polityki Ludwika XI i Richelieugo monarchiczno-centralistycznej, ale gdzie właśnie pozostałości feudalizmu przeszły w zaród federacji; Niemcy, które tylko pośrednio odczuły wielką rewolucję francuską, i raczej z reformacji religijnej niżli z zasad rewolucji polityczno-socjalnej wysnuwały przędzę teoryj mniej więcej negacyjnych; Niemcy obdarzone wrodzonym popędem i właściwością ekstensywną, one co zalewały nieprzerwanie od wieku X świat słowiański, podmulając go raczej niż podbijając — od wieków średnich utraciły charakter rycerski i dążenie sławy. Niemcy nagle przeszły wszystkie te stopnie rewolucji i przewrotów dziejowych, na jakie Francya potrzebowała wieków. Przez zwycięstwa oręża germańskiego przebyły one cały ten proces centralizacji wewnątrz, następnie rewolucji obalającej trony, fazę wielkości i potęgi światowładnej Napoleonów — i stanęły w chwili zawarcia świetnego pokoju w fazie imperyalizmu. Imperyalizm prusko-germański, acz o tyle wyżej pod względem organizacji państwowej stoi od imperyalizmu drugiego cesarstwa, kto wie, czy nagłym wywrotem wszystkiego, co dotychczas stało w środkowej Europie, wywrotem zwłaszcza wszelkiego prawa, legalności, prawowitości i przeobrażenia całego ustroju narodowego, czy bardziej Niemiec nie zbliża do fazy Komuny, niż imperyalizm drugiego cesarstwa Francję.

Gdy taki imperyalizm samozwańczy, z przypadku lub siły wyprowadzający swoje prawo, centralizujący i wszystkie zakresy życia narodowego na rzecz państwa konfiskujący, przejdzie przez jakiś naród, to tak potarga i niszczy wszelkie organiczne węzły i spoje, że się po nim roztwiera bezdeń, w której na niczem się więcej zatrzymać, niczego uchwycić nie można, gdy prąd czasu w przepaść pędzi.

Państwo pruskie ma jednak tak wzorową organizację, jest, rzeczy można, takim arcydziełem mechanizmu politycznego, iż byłoby uprzedzeniem lub zuchwalstwem pesymizmu powyższe twierdzenie stawiać bez zastrzeżeń. Być może, iż Prusy dłuższym oporem w skutek siły rządu przedstawią światu obraz walki idei pań-

stwowej z ideą rewolucyjną, być może, iż w tej walce zasłaniać i ratować będą czas jakiś interesa materyalne od zagłady — moralnych jednak interesów nie uratują, bo ich nie uznają, dla tego samego, że jako mocarstwo do szpiku kości protestanckie, pierwsze przyczyniło się do wywrócenia i zniszczenia tych moralnych interesów Europy.

Być może, iż dodatnią stroną przewagi i rzec można jedynowładztwa Prus w Europie będzie powstrzymanie wzrostu Rosyji, jeżeli nie na Wschodzie, to w środkowej Europie; że potęga ta olbrzymia służyć będzie przez jakiś dziesiątek lat za tarczę przeciwko nihilizmowi północy i wstrzymywać szerzenie się nihilizmu zachodniego — ale to pewna, że to państwo na negacyi praw moralnych oparte, nie uchroni świata od grożącego mu kataklizmu, który odwrócić i powstrzymać może tylko potęga moralna z łona społeczeństw chrześcijańskich wyrastająca.

Lecz nie zapuszczając się w dalsze ocenie polityki pruskiej, która wierna swej tradycyi z epoki rozbioru Polski, zniszczyła w Europie pojęcie niepodległości i prawa politycznego; nie zapuszczając się w rozbiór nowej szkoły dyplomatycznej hr. Bismarcka, szczerością cynizmu zastępującej dawną hipokryzję dyplomatyczną szkoły Talleyrandów i Palmerstonów — przejdźmy do przedmiotu, który nas teraz najbliższemu zajmuje, do wznieconej walki państwa przeciwko Kościołowi katolickiemu, do rewolucyi religijnej, jaka się wszczyna w Niemczech.

Jeżeli na Zachodzie bardziej ateistycznymi wyobrażeniami podkopała społeczeństwo rewolucya — to i Niemcy nie wolne od socyalistycznych dążeń, od wpływów Internationala i rozrostu szkoły Lassala, zdają się być jeszcze zagrożone wewnętrzną wojną religijną.

Protestantyzm, który swój wzrost zawdzięczał przeważnie wpływowi i protekcji polityki świeckiej, jako systemat z natury swojej przejściowy i połowiczny wobec rozrostu racjonalizmu przez siebie wznieconego, stracił podstawę i punkt oparcia. W Anglii opierał się na przywilejach politycznych i na związku z całym organizmem konstytucyi — dziś stopniowo traci siłę, a Kościół katolicki odzyskuje z rokiem każdym licznych wyznawców. W Ameryce, przy rozdziale państwa od Kościoła, również z trudnością utrzymuje współzawodnictwo z katolicyzmem, popadając w sekciarstwo. W Niemczech był stopniowem przejściem do racjonalizmu i doprowadził, rzec można, do religii indywidualnej. Wszędzie zaś z zerwanem

głównem ogniwem sukcesyi, że tak powiemy, duchownej, bez hierarchii, przy zasadzie wolnego rozbioru ulega dezorganizacji moralnej, rozkładowi wewnętrznemu. Wręcz przeciwny katolicyzmowi, o ile ten traci, ilekroć ulega wpływom politycznym w gallikanizmie i józefinizmie — protestantyzm, jako poczęty z interesów polityki świeckiej, jedynie w niej znaleźć może podporę, gdy się wiąże z państwem.

Zrozumieć to musiał geniusz hr. Bismarka, skoro po kampanii francuzkiej, zdaje się, że ten mąż stanu zapragnął wawrzyńców w kampanii przeciwko rzymskiemu katolicyzmowi. Czuł on musi, że jednolita organizacja polityczna nie wystarczy dla zcentralizowania Niemiec w koło nowego tronu cesarskiego, dąży przeto do stworzenia innej siły, siły moralnej, scentralizowanej w państwie — dąży do kościoła państwowego.

W tym celu używa on dwóch dróg odciągnięcia katolików od Rzymu: wytworzenia w łonie Kościoła katolickiego nowej herezyi, a obok tego reformy w samejże reformacji i narzucenia tak nowej herezyi, jak staremu protestantyzmowi silnej organizacji, organizacji kościoła państwowego.

Oto klucz zagadki döllingeryzmu. Herezya monachijskiego profesora nic niema wspólnego z opozycją mniejszości soborowej. Ta ostatnia była tylko wahaniem się nie przed uznaniem prawdy, ale przed jej postawieniem w epoce pełnej niebezpieczeństw — to też poddała się i ustąpiła bez restrykcji, jednogłośnie przez to dowodząc jedności i nadprzyrodzonej potęgi Kościoła. Döllingeryzm jest intrygą polityki świeckiej w celach nadto widocznych i jawnych; to ilustracja jedności niemieckiej, zamierzonej i na polu religijnem.

Zawzięty antagonizm przeciwko katolicyzmowi, cechujący nasze czasy, sojusz massonów z judaizmem, racjonalistów z materialistami wszystkich szkół, dopomógł tej niecnej agitacji, ale tylko na polu demonstracji. Posypały się adresy do nowego herezyarchy, podpisywane przez ludzi nie mających zgoła żadnej wiary. Lecz w rzeczach wiary i religii środki takie zawodzą — można wywołać szereg demonstracyj, można rozwinąć prześladowanie, ale stworzyć herezyi, związać w nowy jakiś kościół i nowe wyznanie niedowiarzków i bezwyznaniowych, którzy nie tylko ten jeden dogmat, ale całe objawienie odrzucają, którzy nawet przeczą istnienia Boga i nieśmiertelności duszy — to rzecz niepodobna.

Aby przygotować władzę duchowną nowemu cesarzowi - papieżowi, użyto tego samego środka, jakiego użyła schyzma: nazwano nową sektę starym katolicyzmem, prawosławiem niemal. Aby to nowe wyznanie zorganizować, szukano po całych Niemczech i dotąd znaleziono jednego księdza w dyecezyi warmińskiej, jednego odstępcę, niestety, imienia polskiego, na Szlązku — i na tych dwóch opierając się wypadkach, rozpoczęto kampanię polityczną przeciwko katolikom. Z egoizmem, o którym już wspomnieliśmy, właściwym dyplomacy kanclerza przyznano się, iż państwo popierać będzie tylko dogodne sobie wyznanie a odmówi uznania religii, która jest niezgodną z jego politycznymi widokami. Zwinięto w ministerstwie wyznań wydział dla spraw Kościoła katolickiego, chcąc przygotować jedność kościoła państwowego. Historia prześladowań Kościoła, bogata w krwawe nawet karty, nie ma jednak wypadku, aby państwo rozciągało kontrolę nad dogmatyczną stroną wiary. Cesarze rzymscy, carowie Rosyi, wielu z monarchów protestanckich, sułtanowie mahometańscy nie uznawali katolików, prześladowali ich, tępiłi wiarę, ale nikomu dotąd nie przyszło na myśl rozstrzygać w sporach dogmatycznych Kościoła, cenzurować obce sobie wyznanie.

Walka dotkliwa i bolesna dla katolików sprowadzić może Prusy na pochyłość zgubną dla powagi państwa, a miasto zjednoczyć w zreformowanym protestantyzmie naród niemiecki, pchnąć go w wewnętrzzną wojnę religijną.

Druga część tego systemu dotyczy samego protestantyzmu. Broszura poświęcona cesarzowi Wilhelmowi, odsłania te zamiary. Chodzi tutaj o narzucenie organizacyi episkopalnej na wzór angielskiej różnym odnogom kościoła reformowanego. Któż w tem nie dostrzeże jawnego celu jedności religijnej w protestantyzmie, w cieśniej sze wziętym kłuby, a oddanym pod kierunek i zarząd naczelnika państwa.

Nie przeczymy, że obrót ten spraw religijnych w Niemczech zagraża straszną walką, że może wystawić na ciężkie próby katolików — ale zdaje nam się w tym kierunku dostrzegać ostatnią fazę podkopanego protestantyzmu, ostatnie wysilenie idei, która się przeżyła politycznie nawet. Poruszenie namiętności politycznych w obecnej chwili — może tylko przyspieszyć kataklizm socjalno-religijny, grozący światu, wybuch ostateczny rewolucyi przeciwko Bogu i społeczeństwu. Rewolucya ta, której chmury okrywają cały horyzont europejski, może obalić nawet tak silny tron i państwo

na bagnietach wsparte jak Prusy — ale po przejściu tej niszczącej burzy, zmartwychwstanie tylko to, co ma zaród nieśmiertelności. Gdy horda przecząca Boga i waląca wszystko w gruzy, przejdzie przez Niemcy, walką religijną wywołana — nately z pogromu protestantyzm już się nie podźwignie więcej — ale jeden tylko Kościół katolicki, który już przeżywał kataklizmy całych cywilizacyj, zatknie sztandar odrodzenia dla narodów i cywilizacji chrześcijańskiej.

V.

Z zastraszającym, biorąc po ludzku, a z pocieszającym, biorąc po bożemu, pospiechem wszystkie zagadnienia i wszystkie walki rozdzierające cywilizacją, państwa, systemy polityczne, dążenia społeczne, wyobrażenia naukowe, przenoszą się na pole religijne. Wiek nasz z upadłym duchem religijności, którego cechą miał być indyferentyzm, a chlubą tolerancya, wszystkie swoje namiętności, interesa i chucie czysto materyjalnej natury puściwszy samopas, doszedł do punktu, przed którym z jednej strony roztwiera się bezdenna przepaść, chłonąca w sobie nie tylko wszystkie duchowe zdobycze ludzkości, ale nadto wszystkie jej zasoby materyjalne, a po nad którym z drugiej strony wznosi się stroma skała kalwaryjskiego wzgórza. Innego wyjścia niema, tylko albo staczać się ku czarnej przepaści, którą dla uproszczenia nazwijmy Komuną, bo ta nazwa nie lokalna i chwilowa, ale raczej symbol powszechnej zagłady, roztwierającej się pod stopami cywilizacji — lub na klęczkach z gotowością na śmierć męczennika i wyznawcy, będącą tylko okupem nieśmiertelności, wspinać się po kalwaryjskiej drodze — do krzyża Chrystusowego. Tam na dnie przepaści: negacya Boga, rząd szatana już niezastaniający się pokusami materyjalnego dobra, potęgi, zamożności, dobrobytu, ale w całej nagości nihilizmu niszczącego wszelkie życie — tam w górze: prawda przedwieczna, królestwo boże, o którego przyjście chrześcijanie od wieków powtarzają modły.

Od Piusa IX aż do Mazziniego, od najwyższej powagi Kościoła do najwyższej powagi rewolucyi, wszystkie wyższe umysły i duchy to przeczuwać muszą, choć nie zawsze przyznają, że przeciw grożącemu niebezpieczeństwu nie wystarczają już żadne doczesne środki, że wypadło coś z lutni życia narodów, jakby powiedział

Kraśiński, co jest zarodem samegoż życia, coś niewidzialnego a jednak wiecznie żyjącego, coś nieziemskiego, a jednak dającego podstawę bytu wszystkiemu co istnieje na ziemi, coś co było po wszystkie wieki syntezą wszystkich ludów, czy stały u szczytu swojej oświaty, czy były w stanie pierwotnym, na wpół dzikim. A tem czemś, to wiara; katolikom podaje ją Kościół przez swego zwierzchnika, podaje nie tylko w całej pełni i przedwiecznej prawdzie, ale nadto w wskazówkach, ostrzeżeniach i przepisach, według których chronić się mamy od szerzącego się potopu. Na synów zaś rewolucyi, nie przyjmujących ostatniego jej słowa woła ojciec rewolucyi głosem rozpaczy: wiary, wiary w nieśmiertelność i w Boga — bo inaczej zginiemy!

Wszystko od tego zawisło. Najważniejszy to moment etyczny dla ludzkości, która przydusiła w sobie wrodzone poczucie wiary i od której dla jej własnego ratunku i zbawienia, Bóg tylko uznania siebie wymaga. Na ten wyzew boży, piorunami nieszczęść w dziejach ludów znaczone, wszystkie sprawy przenoszą się na grunt religijny.

Stojąc między przepaścią a podnóżem kalwaryjskiej drogi, jesteśmy już objęci w jeden okrąg dantejskiego piekła. Zbyt długo i zbyt wytrwale nurtowały podziemne potęgi zniszczenia, tak, że w tej chwili, gdziekolwiek zbiorowo, gromadnie rozpoczęła się ta kalwaryjna pielgrzymka ku Królestwu Bożemu — wszystko co społeczność chrześcijańską szeregowało i w moralnej trzymało karności, już w pierw usuniętem zostało. I jednostki tylko i masy prostego ludu mniej od jednostek mające rzutkości, pozostały i przechowały to poczucie wrodzone Boga, od którego rozpoczyna się człowieczeństwo, jednostki tylko osamotnione i równie osamotnione masy ludu zwracają się w górę, ale dążenia ich mają jeszcze charakter bierności. Wszystko natomiast co postawiono w miejsce starej chrześcijańskiej organizacji społecznej, czy jest politycznym utworem, czy sekciarskiem narzędziem, jakkolwiekby je dziś za hamulec przeciw chyleniu się do przepaści użyć chciano — w naturalnej konsekwencji swego założenia w przepaść się tę spycha.

Gdyby istotnie walka dziejowa dziś taką burzą podziemną huczącą toczyła się tylko o materyalne dobra, gdyby istotnie ograniczała się ona na polu socjalno-ekonomicznem i stali naprzeciwko siebie tylko ci, co posiadają pod godłem: „kapitał“ i biedni, pijani żądzą posiadania pod godłem: „praca“ — gdyby tylko chodziło o wyrównanie prawa własności — ratunek jego byłby łatwym.

Naprzeciwko socjalistycznego *Internationale'a* potężniejsze wystąpiłoby stronnictwo porządku materyalnego, obrońców własności; znalazłoby się wyjście i rozjemstwo między kapitałem i pracą, zasylenie głodnych — lub kto wie, czy z bezwzględnością jaką zwykła panować w sprawach czysto materyalnych, nie narzuconoby jeszcze cięższych niż ongi kajdan poddaństwa na zbuntowany proletaryat.

Lecz to tylko szczegół ogólniejszej walki, a raczej ostateczny jej wyraz, ta walka chleba i kieszeni. Któż nie dojrzy, że prawo własności jest wynikiem idei osobistości, gdy ta została ludziom i Bogu zaprzeczoną, gdy nowożytni mędrce przedstawili w swych systematach, iż ludzkość i wszechświat to tylko falanster siły czy materyi, chwilowo się skupiającej w jednostce i znów w wszechświecie rozplywającej. W naturalnem więc następstwie za panteizmem materyalnym czy duchowym musiał przyjść systemat obalający prawa własności, mrzonka falansteru, straszna rzeczywistość Komuny.

Aby utwierdzić prawo własności, jak i inne zagrożone prawa społeczne, rodzinę, zresztą całą cywilizacyą i jej nabytki, trzeba znów sięgnąć do pierwotnego źródła, do owej osobistości duszy ludzkiej, która bez nieśmiertelności nie da się pomyśleć, do osobistości Boga, początku wszech-rzeczy.

Jakkolwiekby płytko i powierzchownie ludzie pojmowali to, co z sobą przynosi historia — to duch dziejów idzie do gruntu rzeczy. Dla tego właśnie widzimy, że po nad kwestyą socyalną góruje dziś wszędzie kwestya religijna, że po za tą walką o chleb i kieszeńi wznieca się straszliwsza walka sumień o ideę Boga, o wiarę.

Pierzchają cienie indyferentyzmu, przyskają teorye tolerancyi, fanatyzm niewiary afirmuje się swą zawziętością do Boga, Którego przeczy, potęguje wpływ Kościoła, który chce obalić i z ziemią zrównać. Czasy pierwotnego prześladowania powracają w całej swojej grozie; na kalwaryjską drogę męki, pędzą wiernych wszyscy bluźniercy i wszyscy odstępcy, siepacze caratu i zbiry Komuny, trybuny rakuskiej bezwyznaniowości i pruskie Döllingery wspierane policyą. Rossya wyprzedziła tylko stare narody i państwa europejskie w walce religijnej i prześladowaniu katolicyzmu. Dziś ono już jest ogólnem, europejskiem. Jeżeli tylko czyny Komuny dorównują na tem polu czynom caratu, jeżeli śmierć arcybiskupa Darboya i księdza Deguerry przypomina tylko zgon biskupów Kalińskiego i Łubieńskiego — to znów pod względem politycznym i socyalnym prześladowanie to katolików, czy to apostołuje Mühlfeld, czy Bismarck, acz bez tortur materyalnych, tą samą odznacza się miarą zawziętości. I rzeczą

to charakterystyczną, że wszechstronna i ogólna dziś walka religijna zwróconą jest wyłącznie przeciw katolicyzmowi. Katolicy tylko jedni stali się dziś niemal paryasami społeczeństw europejskich, gdy wiernie i twardo stoją przy wyznaniu całości swej wiary, oni tylko jedni wydani na pastwę tortury jakiej nie znali poganie, ale która jest najdzielniejszą niepoganizmu bronią, tortury, na którą składa się kał uliczny z pianą szału zmieszany, zaprawiony kłamem, bluźnierstwem i nienawiścią a zwany prasą. Oni tylko wykluczeni z wszelkich przywilejów wolności, z udziału władzy, odrzucani wszędzie, z zamkniętą drogą jakiegokolwiek działalności. Przeciwno katolicyzmowi zwrócona cała potęga massonizmu, który rządzi we Włoszech, który dziś pod protektorat cesarza Wilhelma się poddaje, w pierw usławszy mu drogę przez wywrócone trony do tronu cesarskiego. I bądź co bądź, w tej wojnie religijnej na cały świat rozgałęzionej a stanowiącej tło epoki, syntezę wszystkich walk, wszystkich sporów, Rzym jest głównym punktem, ześrodkowującym wszystkie dążenia, wyrotu ogniskiem. Kwestya rzymska góruje nad wszystkimi sprawami nie dla nas tylko katolików, ale właśnie i dla przeciwników, dla całej Europy.

Rzym jest kluczem sytuacji europejskiej, jakbyśmy powiedzieli w artykule dziennikarskim; on dziś jest tem wzgórzem kalwaryjskim, stanowiącem antyzę przepaści Komuny, ku któremu zdążają wierni, wstępując na drogę męki i prześladowań, ale chroniąc resztki i zarody chrześcijańskiego życia dla przyszłości świata...

Z. LUDWIK DĘBICKI.

LAMARTINE.

Studjum literackie.

I.

Najstosowniejszą chwilą do wydania sądu o pismach i wpływie znakomitego poety, jest niezawodnie ta, w której życie jego zgasło a z niem zapal jaki obudzał sympatyje i antypatyje wszelkie, nienawiść i miłość. Życie Lamartine'a upłynęło wśród wieku postępu, przetrwało i przebyło wszelkie wahania się jego i koleje, przyjmowało jego idee i uległo wpływowi, oddziaływując także ze swej strony na społeczność ówczesną; aby więc osądzić życie i dzieła męża takiego, należy zbadać

naprzód społeczność samą i w stosunku do niej sąd ten wydawać: należy zastanowić się wprzód i zapytać co człowiek wziął z ducha czasu, a co jest jego własną zasługą lub błędem. Należy wprzód zapytać społeczności ówczesnej co chciała uczynić i co uczyniła na polu myśli i wiedzy. Rozstrzygnąwszy to pytanie, przejdziemy następnie do zbadania kwestyi głównej, filozofii poety i zakończymy kilku uwagami ze stanowiska sztuki.

Początek wieku dziewiętnastego nie zdołał określić i scharakteryzować stanowczo swoich dążeń. Pomimo wysień wolterjanizmu, odznaczał się ogólnym powrotem do pojęć religijnych i wznowieniem takich idei, jakim zdawało się, że rewolucya ostatni cios zadała. Katolicyzm za pośrednictwem takich ludzi jak De Maistre, Bonald i de Lamennais w początkach swego zawodu, wiódł zwycięską walkę z ostatnimi szermierzami ówczesnej filozoficznej szkoły i jeżeli nie zapanał ostatecznie nad jej pychą szaloną, to przynajmniej ją zmusił do otwartego wywieszenia sztandaru spirytualizmu. Od roku 1817 jak wiadomo, przedstawiciel szkockiej filozofii p. Cousin, walczył zacięcie w Sorbonie z pojęciami XVIII stulecia. Pismo *le Globe* założone w 1822 roku gromadziło w kolumnach swoich prace pewnej szkoły, która za obrębem dogmatu chciała dojść do wykazania filozoficznej prawdy. Tam, najprzód, rozwijał poglądy swoje p. Jouffroy, umysł zmakomity, głęboki i nieublaganie logiczny myśliciel, gdy walczył z doktrynami ateuszów, panteistów i materjalistów; ale pełen zarozumienia, przesądów i niekonsekwencji, gdy rozwijając własne swoje idee na ruinie wszelkich objawionych religii zapowiadał i inaugurował stanowcze filozofii panowanie. Wiadomo z jaką pogardą i szatańską nienawiścią cisnął on pod nogi i zdeptał wszelkie religijne doktryny i same dogmata bożego objawienia, w sławnym artykule swoim ogłoszonym w r. 1825 p. n. jak się kończą dogmata, *Comment les dogmes finissent*. W tej szkole, w tej doktrynie wiek ówczesny odnalazł myśl swoją: stał się on racjonalistycznym i panowanie rozumu ludzkiego uwolnionego od wszelkiej powagi, zdawało się już być zapewnionem, gdy jeden z członków sławnego uniwersyteckiego tryumwiratu, p. Cousin wystąpił w Sorbonie z doktryną filozoficznej swobody, która miała zawsze zdolność elektryzowania a raczej upajania ludzkiej pychy i zarozumienia. Ale dotychczas jeszcze szanowano Boga i duszę; oburzonoby się na tego ktoby śmiał wyznać się głośno ateuszem i owo wyrażenie się de Broussais: „niema Boga! można wszystko wytłomaczyć bez Niego;“ obudziło powszechną wzgardę i potępienie. Ale takie jest niewzruszone i ogólne prawo: człowiek nie może naznaczyć sobie granic, skoro raz się pograży w abstrakcyjne doktryny racjonalizmu. Daremnie też Jouffroy straszną logiką swoją niweczył twierdzenia de Broussais, daremnie dowodził, że ten plagjator i naśladowca Helwecjusza i Cabanisa niezna pierwszych zasad owych pojęć przeciw którym walczy. Spirytualistyczne doktryny de Jouffroy, owe doktryny, które według jego zdania miały być ostateczną i stanowczą regułą ludzkiego rozumu nie mogły już powściągnąć jego wybryków. Rzecz dziwna i zastanawiająca wszelki umysł poważny! Samej sobie i własnemu zostawiona świa-

tłu, dusza według praw logiki musi koniecznie dojść do jednego z dwojga tych celów: do wiary jeśli się kieruje prostotą i uczuciem, do materjalizmu jeśli pycha nią włada i rządzi. Kto mógł myśleć, że doktryny de Broussais, tak odparte zwycięzko przez filozofów, doktryny tak słabo na rozumie oparte, tak zgubne dla moralności, tak słusznie wzgardzone przez wszystkie wyższe umysły, jakie się pojawiły we Francji od 1820 do 1828 roku, zdobędą na nowo sobie panowanie i odrodzą pod rozmaitemi formami panteizmu, pozytywizmu, materjalizmu, które koniec końców są tylko różnymi nazwami ateizmu? Kto mógł wnosić, że ten uczeń sensualistycznej szkoły XVIII wieku, wyprzedzał tylko obecne twierdzenie szkoły medycznej, gdy ekscytacje nerwowe uważał za główną i jedyną przyczynę naszych wrażeń, uczuć, idei, pragnień i woli? Czyliż nie to samo mówią i głoszą dzisiaj? czyż nie powtarzają na przykład zdań następujących: „Jest łączność między dwoma temi stonkami: objawy intelektualne i moralne są tem dla substancji nerwowej, czem ciężkość dla materji t. j. fenomenem niezaprzecznym, który w obecnym stanie naszej wiedzy, sam siebie tłumaczy. Fizyk uznaje, że materya cięży, fizyolog konstatuje, że substancya nerwowa myśli, lecz tak jeden jak i drugi nie sili się bynajmniej na wytłómaczenie, dla czego ta cięży, a ta myśli.“ Pozytywizm podobnie się wyraża: „Dogmat bytności Boga, powiada p. Littré, jest najzupełniej sprzecznym z pozytywizmem; zasadniczą podstawą nowej filozofii, jest to, że tylko fenomena realne i uczuć się dające są rzeczywistością.“

Otoż i cała nauka jaką filozofia daje rodzajowi ludzkiemu! Czyż się wiecznie, powiada jeden ze współczesnych pisarzy, obracać będziemy w tem fatalnem błędnem kole, jakie nam przedstawia historia systematów i czyż umysł ludzki wiecznie przechodzić będzie nie znajdując stałego oparcia, przez wszystkie fazy, przez które filozofia od początku świata przechodziła? A filozofia czyż zgodnie z twierdzeniem p. Cousin, musi być kolejno sensualistyczną, spiritualistyczną, mistyczną i w końcu sceptyczną, stosownie do dążności wieku i do różnorodności wrażeń, jakie spotyka? A wreszcie gdy ten szereg przemian wyczerpie się, czyż go znowu rozpoczynać musi, nie zatrzymawszy się nigdzie, nie zdobywszy żadnej zasady, nie podniosłszy jej nad wszelką dyskusję, nie zachowawszy jej jako niezaprzeczoną i stanowczą swą zdobycz?“ Tak, bezwątpienia i w tem jest potępienie filozofii takiej. Jakże ona znaleźć może spokój, gdy prawem jej jest ruch i przemiana? Jakże wymagać może ustalenia, nie mając punktu oparcia, ani symbolu, któryby był jej prawem i regułą? Zwolniona ze zbawczych więzów wiary, filozofia podobna jest do owych odłamków planet, które oderwane od środka atrakcyi, błądzą bez kierunku w nieskończonych przestrzeniach, aż napotkawszy zapórę druzgoczą się o nią i kończą swój obieg bez celu. . . .

II.

Czyliż w tym ogólnym ruchu i pojęć zamęcie, poetycka, wrażliwa natura mogła znaleźć ustalenie i pokój? Gdzie w naszej epoce są ci niezłomni, ze spokojnem natchnieniem poeci? Gdzie są ludzie, coby

pielgrzymkę doczesną bez słabości i zawahania, odbyli?.. To wszakże służyć nie może jako usprawiedliwienie Lamartine'a; jestto najwięcej wytłumaczenie niekonsekwencji jego i upadków. Wpływ ducha czasu mniej mógł działać na niego, niżeli na innych: genjusz Lamartine'a, świetność okrywająca pierwsze jego wystąpienie, sympatyczne przyjęcie jakie znalazła religijna barwa utworów poety, wszystko to powinno go było uchronić przeciwko pokusie złożenia holdu bożyszczom onego wieku i przekonać, że wsparty całą armją wielbicieli, ma prawo i siłę rządzić i kierować społecznością swoją. Czy to uczynił? Obaczymy zaraz.

Pierwsze *Rozmyślenia poetyczne* (*Méditations poétiques*) ukazały się w r. 1826. Po długich poszukiwaniach bezinteresownego miłośnika literatury, któryby chciał ich wydawnictwo przyjąć na siebie, poszukiwania te szły nie zbyt łatwo, lecz w końcu wydawca się znalazł. Nieporównane to dzieło, tworzące prawdziwą liryczną poezję we Francyi, weszło na świat nieśmiało, z pewną nieufnością i bezimiennie. *Les hommes du goût*, jak wówczas mówiono, chwalili je wprawdzie, ale nie zbyt gorąco. Najbardziej z nich pobłażliwy p. de Feletz daje kilka ojcowskich przestroóg i zachęca młodego poetę, w którego utworach jak powiada: „znać *mens divinius* a w wyrażeniach i obrazach jakie kreśli *os magna sonaturum* co według zdania Horacego, stanowi poetę. Niech więc młody pisarz, powiada p. Feletz, oddaje się poezyi, bo ten początek zapowiada wysokie zdolności... *Huic musae indulgent, hunc poscit Apollo*.“

Ojcowskie to wprawdzie i miłosierne pozwolenie, ale dane *du haut de sa grandeur* i niezdradzające wielkiego zapalu. Szczęściem, czytająca publiczność widziała te rzeczy inaczej i dusze czytelników podniosły się wkrótce do wysokiego nastroju duszy poety. Zapal był niesłychany: rewolucya w literaturze była gotową, widoczną, przyjętą i spełnioną. Jakaż była przyczyna tego niesłychanego powodzenia? Utwór ten zjawiał się na czasie; odpowiadał potrzebie chwili; wyrażał uczucie w duszach wszystkich. Było to sympatyczne spotkanie uczuć czytelnika i uczuć poety. W innem otoczeniu, wśród okoliczności innych, poeta nie miałby może takiego natchnienia, a społeczność pozbawiona przedstawiciela swych myśli i uczuć niezdolalaby określić i wyrazić swych dążeń i przewrót ten w literaturze byłby się odwłókl na długo. Rozstrzygnąć trudno, czy poeta, czy społeczność ważniejszym była czynnikiem w tym przewrocie, kto oddziaływał więcej, kto go sprowadził, komu się pierwsze należy uznanie. Zdaje się, zasługa tu równa. Jakkolwiekbydź, społeczność poznała opatrnościowego człowieka i rzuciła się w jego objęcia, ku wielkiemu zgorszeniu tych, którzy powtarzali wiecznie jedno i to samo, przynosząc światu dawno urobione teorjami plody. Odstąpiono tedy od ołtarza gdzie wprzódy składano holdy pp. Parny, Delille, Michaud, Luce de Lancival i t. d. a bezinteresowni krytycy mieli odwagę wyznać, że poezya liryczna pojawiła się we Francyi. I wyznali prawdę. Z wyjątkiem *choeurs d'Athalie* gdzie Racine dzięki natchnieniom swej wiary i uwielbieniu swemu dla mowy proroków, znajdował czasem ton i akcent prawdziwego liryzmu, przy-

znać należy, że wszystko cokolwiek wówczas tem oznaczano imieniem, było tylko poezją, że się tak wyrazim, konwencyonalną, bez życia i uczucia. Byłyż może czem innym owe parafrazy Rousseau i Franka de Pompignan? (C. d n.)

O METODZIE SCHOLASTYCZNEJ.

JEJ GENEZA, ROZWIJANIE SIĘ I DOJRZAŁOŚĆ.

(Ciąg dalszy.)

1. Czy papież Aleksander III był przeciwnikiem scholastyizmu? 2. Czemu nieprzyjaciele katolicyzmu są nieprzyjaciółmi teologii scholastycznej — a czemu obstają za pozytywną? 3. Źródło uprzedzeń i przesądów. — Czy jest metoda, ktorejby nie nadużyto? — Czy nadużycia znoszą użycie? — Czy teologom katolickim przystoi popierać anatematą rzucane na scholastykę? — 4. Smutne skutki braku przezorności pod tym względem. — Mnogość studyów przygotowawczych. — Rejtszula o drewnianych konikach. 5. Barometer teologicznego ukształcenia. — Skrócenia skróceń. — Publikacje pewnych duchownych. — Książd Krupiński Pijar — jego filozofia i jego wiara. — Czy teologia popularna obejdzie się bez gruntownej znajomości teologii niepopularnej, jak się obchodzi teologia trywialna. — Z tej biedy czem się uleczyć.

Według uczonego Benedyktyna, Dom Riveta, „teologia byłaby bardzo wiele zyskała, gdyby w szkołach była przemogła metoda pozytywna, gdyby chciano poprzestać na prostym wykładzie dogmatów na podstawie Pisma św. i Ojców. Lecz nieszczęściem (powiada on), przemógł smak subtelności i czczego rozumowania, a w kąt poszły pisma ojców i starożytnych autorów. Czytanie takowych wymagało wiele czasu, a czas ten obracano na zaspokojenie panującej namiętności rozprawiania. Proces dyalektyczny zdawał się być krótszą, łatwiejszą i daleko więcej zajmującą drogą. Czerpano argumenta w umyśle, często nawet w wyobraźni — albo raczej instrumentem umysłu i wyobraźni czerpano w toniach arystotelesowej filozofii. Rzeczy doszły do tego stopnia, że jak niegdyś zimni sofiści greccy, tak w średnich wiekach scholastycy rozprawiali z równym zapałem o wszystkim; najwyższe dogmata stawiali problematycznie — a pro i contra z jednakim ogniem, z jednakim (pozornem) przekonaniem dowodzono i walczo. Smutna ta mania pętrała wielu teologów w odmet grubych dogmatycznych błędów. Sama stolica św. przerażona możebnymi następstwami podobnej pseudo-metody, występowała groźnie i surowo przeciw tej rozkiełznanej płochości umysłów,

już prawie nic nierachujących się z wymaganiami tradycji i z objawieniem. W roku 1164 Aleksander III zgromadził blisko 3000 znakomitych erudytów teologicznych, z którymi za radą biskupów i kardynałów zdecydował gwałtowną potrzebę położenia stanowczego kresu tego rodzaju nadużyciom.“

Trzy tysiące znakomitych erudytów! zaiste nie złe świadectwo dla epoki, która według powołujących się na ten fakt — przeciwników scholastyizmu, miała się tylko odznaczyć nadużyciem scholastycznego rozprawiania. Czy Aleksander III z owymi erudydami naradzał się rzeczywiście w celach nieprzychylnych dla scholastyki, jak chcą mieć Rivet i Fleury, nie tu miejsce sprawdzać — proszę jednak wziąć na uwagę — że to właśnie wiek Aleksandra III dokonał budowy wielkiej szkoły, z której bezpośrednio miały wyjść takie scholastyczne olbrzymy, jak Roger Bacon, Aleksander de Halès, Wincenty Bellovacensis, Albertus Magnus, święty Tomasz z Akwinu, Duns-Scot i święty Bonawentura!

Gdyby Dom Rivet powstawał tylko przeciw nadużyciom scholastyki, miałyby wielką słuszność, i sami scholastycy chętnieby go swoim *Concedo* poparli; ale gdy o te nadużycia oskarża wiek XII, w którym przeciwko ideom antireligijnym i ateistycznym szerzonym przez szkołę arabską, komentującą fałszywie zarówno Arystotelesa jak i Platona, walczyli chlubnie i zwycięzko dla nauki chrześcijańskiej, właśnie teologowie i filozofowie scholastyczni — to dowodzi tylko, że i najobszerniejsza erudycja, jakiej zwłaszcza Rivetowi zaprzeczyć nie można, nie zabezpiecza sama przez się przed grubemi uprzedzeniami.

Jedną z głównych cech teologii scholastycznej jest to właśnie, że była zawsze katolicką. Nic tak przeciwko niej nie uzbraja nieprzyjaciół katolicyzmu jak słynna jej i wiekami stwierdzona ortodoksja i ta potęga argumentów, przed którą ustępować musiały wszelkie rozumowania kacerskie lub ateistyczne. Jeżeli szkoła pozytywna mniej daleko w tym obozie ma nieprzyjaciół, jeżeli owszem znajduje w nim nawet zwolenników, obrońców i wielbicieli, to z pewnością nie dla tego, iż na dogmata katolickie chętniejby się ludzie tego obozu zgodzili, gdyby ich chciano o prawdziwości tych dogmatów przekonywać na drodze pozytywnego wykładu, ale jedynie dla tego, że szkoła pozytywna, jakkolwiek szacowna w sobie i pożyteczna w nauczaniu wiernych, mniej przecież okazywała się skuteczną w pokonywaniu ducha kacerstwa i bezbożności posługującego się subtelnościami krętego rozumowania, niżeli szkoła spekulatywna.

Zaprzeczyć nie można, że jak ludzie nadużyli wszystkiego, nie wyjmując samego światła objawienia i światła rozumu, tak nadużywali w pewnych epokach i metody scholastycznej, albo raczej nadużywali dyalektyki, którą się ta metoda przeważnie posługuje. Lecz jakkolwiek owe nadużycia byłyby wielkie, jeszcze to nic samo przez się przeciwko rzeczy nadużytej nie mówi. Czyliż i pismo św. nie służyło w ręku herezyarchów za instrument w dowodzeniu, bronienu i szerzeniu błędów najniebezpieczniejszych równie dla dogmatu jak i dla moralności chrześcijańskiej? Kacerstwa i sekty odznaczały się prawdą duchem rozprawiania; anarchia umysłu w takich Erygenów, takich Rajmundów Lullów, takich Roscellinów i Abellardów, walczyła przeciwko świętym źródłom wiary, przeciwko powadze kościoła, ale, wieleż to razy owe boskie źródła usiłowała także zmącić anarchia egzegetyczna, biblijna, patrystyczna? Czyż dla tego teologia miała się rzec swoich sił, środków i narzędzi, że ich w jakiejś epoce nadużyto? Cóżby jej w takim razie zostało; co by zostało którejkolwiek bądź umiejętności, kiedy nadużyto wszystkiego? Same umiejętności naturalne musiałyby się rzec metody eksperymentalnej i obserwacyjnej; sama filozofia musiałaby się rzec metody analitycznej i syntetycznej, boć jeżeli czego nadużywano, to właśnie tych czterech scienceficzných instrumentów, to jest eksperymentu, obserwacyi, analizy i syntezy? Czyż komu jednak przeszło przez głowę doradzać jakiejś umiejętności, aby się rzekła owych sił, dla tego, że ich nadużyto? Chcieć zatem sądzić metodę scholastyczną z nadużyć, jakich się względem niej dopuszczono, byłoby to wyjmować ją z pod praw rozumu i słuszności, przysługujących wszystkim innym. Wyrokować o niej na podstawie takich dokumentów, albo raczej takiego *corpus delicti*, jakim są pisma owych rozprawiaczy z profesyi, którzy na to tylko używali scholastycznej metody, aby teologię odciąć od źródeł objawienia, spędzić z pola przedmiotowości i uwieźć w zakresie samej tylko czczej dyalektyki, tak mówię, wyrokować, byłoby rzeczą równie niesprawiedliwą jak niebezpieczną. Sądy takie, im się urabiają łatwiej, im się przyjmują skorzej, tem powinny być dla ludzi myślących bardziej podejrzane — samych zaś adeptów i uprawiaczy umiejętności, której wiekowa i najpłodniejsza metoda w ten sposób jest ocenioną i sądzoną, tem ostrożniejszymi i baczniejszymi powinnyby uczynić. Tylko brakiem tej baczności da się wytłumaczyć, jakim sposobem najnieznośniejsze przesady, któremi próżniactwo, płochość lub zła wiara miota się przeciwko treści nauki teologi-

cznej pod pozorem niechęci dla formy, zyskać mogły wśród samych nawet dobrych katolików, owszem w samych nawet szkołach teologicznych, obywatelstwo zdrowych zdań i rozumnych przekonań! Zaiste, kiedy przeciwko średniowiecznej scholastyce umieją z całym aplombem rozumnego przekonania wygadywać najlichsze nawet umysły i uczoności kształcone w szkole powieści i romansów, i kiedy z drugiej strony otwarci nieprzyjaciele katolicyzmu bez żadnego namysłu i wstydu tak chętnie wyzyskują szerzone podobną drogą uprzedzenia i przesady, tobyśmy się też już powinni zastanowić, czy nam się godzi puszczać wodę naszych zdań i koncesyj na te młyny z oczywistą naszą krzywdą mielące.

Brakowi tej bacności i przezorności zawdzięczamy, że seminaria a nawet teologiczne fakultety od lat stu przeszło, na rachunek oklepanych gadanin o nadużyciach scholastyki średniowiecznej, zaniedbały gruntownych studyów teologicznych, oraz, że tak uczający jak i uczący się, tonąc w mnogościach pozytywnych niby, a tak zwanych przygotowawczych studyów filologicznych, skrypturystycznych, patrystycznych, patrologicznych, synodologicznych i nie wiedzieć już jakich, nie mają nigdy dość czasu do zajęcia się tem, co stanowi jądro studium teologicznego. O dogmatyce na odpowiednie rozmiary ani myśleć. póki audytorom teologii całe lata schodzą w takich reitszulach o drewnianych konikach. Pierwszy lepszy żydek bukinista śmieje się z erudycji hebrajskiej naszych filologów (Arab i Syryjczyk jeszczeby się śmiał serdeczniej), a tymczasem prawdziwa umiejętność religii leży odłogiem, i w kwestjach najwyższej nas obchodzących, sami nawet czasem duchowni, cóż dopiero świeccy wierni, powtarzają zdania zaczerpnięte z takich warcholskich publikacyj jak *Gazeta Narod.* lub śp *Tydzień Kraszewskiego.*¹⁾ Komu by się to zdało przesadzone, niech sobie przypomni memoryał podpisany przez pewną frakcyę naszych księży, wystósowany przeszłego roku do jednego z prałatów przytomnych na Soborze Watykańskim. Memoryał ten ogłoszony w pismach publicznych a przez żadnego z podpisanych niezakwestyonowany, pozostanie smutnem

¹⁾ Studya filologiczne, jako przygotowawcze do wyższego i specjalnego studium biblijnego, są w szkołach duchownych wielkiej użyteczności i potrzeby — ale nie jako przedmiot obowiązujący zarówno wszystkich, którzy się umiejętności teologicznej poświęcają. Naiprzód dla tego, że studya wzięte seryo, same wymagają długich lat pracy i szczególnego zamiętowania. Powtóre dla tego, że kwestye filologiczne, biblijne, nieodzowne dla każdego teologa, są już więcej niż dostatecznie opracowane i zdecydowane.

świadectwem do jakiego stopnia upadło w wielu miejscach u nas studyum teologiczne, kiedy w przedmiocie najelementarniejszych kwestyi o kościele, jego powadze i jego działaniu, takie w nim znajdują się potworności, od jakich prosta znajomość katolicyzmu powinna być petentów uchronić. Cóż się temu dziwić, kiedy potworności tego rodzaju dopatrzeć się można w pismach pewnych nawet koryfeuszów antischolastycznej francuskiej teologicznej erudycyi! Jakby mogło być inaczej, kiedy w miejsce ścisłych i poważnych studyów dogmatycznych nastąpiło przeważnie traktowanie tego przedmiotu w sposób zdolny tylko wytworzyć w młodych umysłach wstręt do wszelkich wyższych pod tym względem badań i niejasne zupełnie tej pracy pojęcie¹⁾.

Brak scholastycznej teologii, tej regulatorki wszystkich części wielkiego studyum teologicznego, daje się dzisiaj uczuć nie tylko w akademickich i seminaryjskich wykładach, ale też i na ambonie, tem ci bardziej w publikacjach bądź to peryodycznych, bądź nawet poważniejszej formy i objętości. Pewni duchowni drukują poglądy teologiczne, filozoficzne, historyczne, literackie, dogmatyczne, z którychby wnosić można, że albo nigdy teologii nie słuchali, albo z nią zupełnie uczynili rozbrat.²⁾ Nie mówię już o owych publikacjach niby to popularnych treści religijnej, w których nie wiedzieć co więcej jest do podziwiania, czy zupełny brak wykształcenia teologicznego, bez którego, sądzą, że można się obywać w książkach pisanych dla ludu, czy trywialność i gburostwo narzucające się umy-

¹⁾ Złe to zmniejszyło się znaczenie tam, gdzie w miejsce pozólkłych hermezyańskich skrypciat i w miejsce takich kompendyów, jak np. Klüpfel, zaprowadzono prelekcye Perronego lub już na nim wyrobionych autorów, jak Schwetz lub Reinerding. Lecz gdzież podobna przy najlepszych nawet podręcznikach, przez dwa lata, choćby się też miało i dziesięć godzin na tydzień, przejść porządnie cały kurs teologiczny, na który i cztery lata nie byłoby za wiele? Przestaje się więc znowu na kompendyach, a same skrócenia, jeszcze nieraz muszą być skracane.

²⁾ Kto wie, w jakim duchu pisze np. X. Krupiński, Pijar warszawski, tłumacz i zachwalacz panteistycznej historii filozofii Schweglera, ten nie posądzi nas o przesadę w powyższem zdaniu. Dobry jeden i uczony świecki katolik wyrażał swoje zdziwienie, jak ten ksiądz może mszę św. odprawiać, która wymaga wiary w najwyższą tajemnicę chrześcijańskiej religii i jak może klękać przed ołtarzem, on, który wedle swej filozofii nie przypuszcza żadnego zakresu nadnaturalnego, ani nawet prawdziwej (w znaczeniu ścisłym) osobowości Boga. Profesor filozofii w szkole głównej warszawskiej, dr. Struve, protestant, ale człowiek poważny, ostro karci bezbożne elukabracye tego księdza panteisty

słom wiernych w imię popularności i prostoty. Tego złego nie pozbędziemy się, póki nie wrócimy do takiej właśnie teologii, jaka królowała w szkołach duchownych w ich najpiękniejszej epoce, to jest w epoce, która i u nas wydawała Wyszów, Trąbów, Hozyuszów, Karnkowskich, Sokołowskich i Skargów. (C. d. n.)

KARTA WSPOMNIENI

Berlicza Sasa.

(Ciąg dalszy.)

Pokoik Grazielli, ciche ustronie dziewicze, wychodził, jak o tem już powiedziałem, dwoma oknami na kanał *della Giudecca*. — Nie było w nim zbytowego komfortu, nie było nawet pretensyi do elegancyi. Przeciwnie, główną cechę jego stanowiła prostota i szczerść (jeżeli się tak wyrazić mogę), naiwna, odpowiednia czystej i nieobłudnej naturze tej, co w nim zamieszkała. Na ścianach śnieżnej białości, kilka sztychów i akwarelli historycznej treści. Na etażerce z palmowego drzewa, kilka książek w skromnej oprawie: *Tasso*, *Ariosto*, *Alfieri*. Na stoliczku, nieodstępnym towarzyszczu czyściutkiej sofki, album Wenecyi, przybór do pisania i bukiet świeżego kwiecia. Na oknach wazony róż, hortensyi i fuksyi. — W kątku na gwoździu gitara. Dalej, ładny parawanik z marszczonęj jedwabnej tkani błękitnego koloru. Za nim łóżecko Grazielli, istne posłanie Gracyi albo Peri, białe, świeże i powiewną gazą osłonięne. W głowach, na murze, olejna Madonna z boskiem dziećciem i krucyfiks z perłowej macicy ze srebrnym wizerunkiem Zbawiciela. Między oknami wisiał pod czarną krepą portret ojca Grazielli. Nigdy go nie odkrywała; rysy więc jego nie były mi znane.

Graziella usiadła na sofce i wezwała, bym się przy niej usadowił. Pojąłem z jej oblicza i głosu, że była wzruszoną i że to, co miała powiedzieć, tyczyło się najważniejszego interesu jej życia. Nie wiem z kąd pochodziło, że tą razą dusza moja nie była usposobioną do gotującej się rozmowy i niechętnie przystępowała do niej, jakby przewidując nieprzyjemność jakąś, albo za ciężkie brzemie bolesnych wrażeń dla jej sił obecnych.

Graziella była także smutną i zamyśloną. Rzewna jakaś uro-

czystość malowała się na jej twarzy, której bladość tłumaczyła jasno zamęt wewnętrzny.

— Chciałam pomówić z tobą, *mio caro!* — rzekła po długim wahaniu się, jakby przewyciężając siebie — pomówić otwarcie, poufnie o rzeczy dla nas obojga najważniejszej — o losie naszym!

— Ty kochasz mię — wiem o tem — nie wątpię że kochasz uczciwie i szczerze. Ja także uległam pociągowi wzajemnego uczucia — ja także kocham ciebie. A jednak, miłość nasza nierozsądna — tego mało — szkodliwa, tak mnie jak i tobie!

— Nie przerywaj mi, *mio caro*. Niech wypowiem co mam na sercu.

— Tyś baron, syn możnego rodu, właściciel wielkiego majątku — a jam biedna i rodem nie sięgam wysoko.

— Ciebie otoczą krewni, przyjaciele, panowie mnogich włości, dumni z herbu i bogactwa — ja pozostanę na stronie, nieprzyjęta, nieuznana, odtrącona, więc boleśnie dotknięta w mej godności — czegośbyś sądził nie chciał?

— Nikt się nie ośmieli — zawołałem — uchybić mojej żonie!

— Nikt też jej nie uchybi otwarcie — ciągnęła dalej Graziella — nie dopuszcza bowiem grubego nieokrzesania w ludziach twojej sfery. Ale sama nawet grzeczność, może być dotkliwą i ubliżającą. Jedno słowo, jedno spojrzenie, jedno nic, bywa częstokroć obelgą. Ciebie także spotkają szyderstwa, wymówki, za winę nieścisłego związku. Ty cierpisz, ja cierpię, oboje nie będziemy szczęśliwi! Powiedz sam, czy nie mam racji? To co mówię, sprzeciwia się najdroższemu interesowi serca mego. To co mówię, zadaje cios śmiertelny najdroższym moim nadziejom. A jednak gotowa jestem powtórzyć, com powiedziała, bo takie moje przekonanie, bo sumienność i rozsądek tego wymagają po mnie. Tak, *mio caro!* rozłączyć się nam trzeba koniecznie! I to lepiej dziś, niż jutro. Dziś cierpię tylko, jutro nie przeżyłabym tego może!

— Ani dziś, ani jutro! — zawołałem, do głębi wzruszony — kto tu śmie mówić o rozstaniu, wbrew woli naszego serca. Wszak to moralne morderstwo! Są uczucia, co się nie dają ocyrklować rozsądkiem, których nie można poddać chłodnej regule przezorności i rozważki. Takim właśnie uczuciem miłość! Gdzie jest władza, coby jej sprostac mogła? którejby wyrok był dla miłości

normą i prawem! Stłumić ten ogień, wstrzymać bieg tego prądu, nie w mocy człowieka. Kto się na to pokusi, życiem przypłaci! — Nacóż mamy popełniać samobójstwo, wywołując śmierć przedwczesną? O! *cara!* nie pochodnię pogrzebu, lecz lampę hymenu nam zapalić należy! — Precz! z kirem żałoby! Usypmy raczej kwieciami gościniec żywota! oświećmy go radością ducha, pokojem serca! nadzieją w Boga! i dłoń w dłoń, oko w oko stąpajmy pospołu w przyszłość daleką, błogosławiąc ludziom, ziemi, niebu, i wzajem błogosławieni! — O! ty nie wiesz czem jesteś! Nie znasz sama potęgi uroku twego! Nie obelga dotknie cię, ale cześć hołdowna otoczy. Nie wyrzucić mi będą, ale zazdrościć. Każdy przyzna, że nie jam podniósł cię do siebie, lecz żeś ty zstąpiła do mnie, bo cóż znaczą pergaminy rodowe, w obec znakomitości wdzięków, umysłu i serca? — Błogi duch także matki mojej opromieni się radością, gdy przestąpisz progi zamku przodków moich, gdy na jej samotnym grobie złożysz dań kosztowną uczucia, dań świętej modlitwy! Ty ożywisz wszystko, co martwe! oświecisz co ciemne! rozweselisz co smutne! — Nieme wizerunki praocjów moich, przemówią i uprzejmą powitają cię żrenicą! Skrzepłe ściany gmachu zapłoną ciepłem i życiem! a serce moje brzmieć wiecznie będzie dla ciebie hymnem wdzięczności i uwielbienia!...

— Ach! *caro mio!* — przerwała boleśnie Graziella — Na co mi wydzierasz ostatnie siły moje! na co strącasz nielitościwie z toru, jaki mi sumienie obrać kazało! Czy zapomniałeś, że skazana na nieszczęście! że od najmłodszych lat noszę ten wyrok straszliwy w mojem przeczuciu! że nakoniec sam Tadmoro, kiedy mój horoskop ułożył, zbladł z przerażenia, w obec przyszłości mojej, którą mu gwiazdy odkryły!... Nie żałuję ja, że cię pokochała, ale wyrzucam sobie surowo, że ci nierozważnie miłość moją odkryła! Obowiązkiem moim było skryć tajemnicę głęboko, i ciebie odtrącić; samej cierpieć, byle ciebie oszczędzić! samej umrzeć, byleś ty żył spokojnie, i stosowniejszym wyborem pomyślność swoją zabezpieczył! Nie przeszkadzaj mi więc dopełnić tego obowiązku! Nie przeszkadzaj, błagam! postąpić godziwie i szlachetnie, nie przyjmując ofiary twojej, nie dopuszczając ciebie do spółnictwa nieszczęścia, na jakie jestem skazana, jakie przeczuwam i widzę przed sobą, niedaleko, oczyma duszy mojej!...

Kiedy tych słów domawiała, głos jej drżał jak struna burzą trącona, a w tym głosie rzewna boleść, i błagania dzwoniły na przemian.

Kiedym spojrział na nią, twarz miała bladą, i dwie lzy kropliste po niej spływały. Kiedym do niej przemówił słowem nadziei w Boga i miłości, nic nie odpowiedziała, bo zbytkiem wrażeń przepelniona pierś jej odmówiła brzmienia, a ciałem nerwowe drganie potrząsało. Straszno mi się zrobiło. — Graziello! Graziello! — wołałem cisnąc jej rękę na ustach — Nie wierz przeczuciom! nie wierz przepowiedniom! ale wierz miłosierdziu nieba i poleć jemu przyszłość swoją! — Jeżelibyś nawet miała być nieszczęśliwą, to komuż, jak nie mnie podzielać nieszczęście twoje i osładzać? — Komuż, jak nie mnie, stanąć przy tobie w chwili cierpienia, i jeżeli taka wola Boga, umrzeć z tobą pospołu?... O! nie odmawiaj mi tego — zaklinam! nie odtrącaj! Ja nie mogę opuścić ciebie! nie mogę! — Węzeł, co nas zjednoczył, silny nie jedną miłością tylko! Przyjaźń, wiara, spółczucie spotęgowały moc jego, i zrobiły wiecznym, uroczystym, świętym! Targnąć się nań byłoby świętokradztwem! zbrodnią przeciw naturze i Bogu! Jam twój o! *cara mia!* całem jestestwem mojem! twój do zgonu, i po zgonie!

Konwulsyjne łkanie rozdarło w tej chwili pierś Grazielli. Drżąc i blada, powstała ruchem nerwowym z sofki, i rzekła gorączkowo, jakby przewyciężając siebie:

— Niech się więc spełni przeznaczenie moje! — Jam twoja na wieki!

Olśniewającym błyskiem pioruna zapłonęło w tej chwili ciemne przestworze nocy. Straszliwy łoskot rozległ się w powietrzu; i toń kanału *della Giudecca* uderzyła gwałtownie o brzegi.

— To burza przyszłości mojej! Prestroga rozgniewanego losu! — rzekła Graziella, cisnąc dłoń swoją w swojej dłoni.

— Miłość, meżtwo i wiara, przemogą tę burzę! podołają nieprzychylności losu! — zawołałem — śmiało więc Graziello moja! śmiało!

— Śmiało? mówisz — przerwała z gorzkim uśmiechem — śmiało? O! jam śmiała *mio caro!* Jeżeli truchleję, to o ciebie. Czy słyszysz, jak sama natura obawę moją potwierdza? Jak wichrem, gromem i rykiem odmetów morza, przestrogę swoją wypowiada? Burza potrząsa naturą, przeczucie potrząsa duszą. O! jak straszny taki zamęt żywiołów, i ten zamęt serca! Łódź nasza nie wytrzyma ciosów takich! Otchłań pochwyti ją i rozkruszy! Pozwól, o! pozwól, niech odpłyne sama! Ty pozostań na brzegu!

— Zapóźno Graziello! zapóźno! — rzekłem rozrzewniony tym jej szlachetnym oporem. — Mimo burze i gromy, jam twój do

grobu! i tyś moja! I niech ten co był ojcem twoim i opiekunem, któregoś stratę gorzko opłakała, i o mało życiem nie przypłaciła, którego duch tu obecny, widzi głąb serc naszych, i słyszy wzajemną przysięgę miłości naszej i wiary, niech ten pobłogosławi nam w tej uroczystej chwili wiecznego przymierza na życie i na śmierć!

To rzekłszy, zbliżyłem się do portretu ojca Grazielli, zerwałem żałobną zasłonę, co go osłaniała i nagle, krzykiem bolesnym rozdarły się piersi moje, bo w tym wizerunku poznałem barona Arnolda!

Gdyby gromem rażony stałem bez mowy i ruchu, stałem jak zbrodniarz przed swoim sędzią, jak grzesznik przed swoim sumieniem, stałem pełny wyrzutu, podziwu i przerażenia! A postać barona występowała z ram swoich. Rosła, krzepła, olbrzymiała przedemną. Oczy jego gorzały złowrogo, wbijały się we mnie jak dwa rozpalone grotty. Usta tryskały jadem nienawiści, śmiechem szyderstwa, słowem przekleństwa! On groził, urągał się, znieważał mię wzgardliwie. Wyzywał do odpowiedzialności za śmierć swoją, a jam truchłał w obec tego straszliwego widzenia, drżał jak listek od tchnienia huraganu, jak ofiara pod siekierą kata! Jam truchłał i czuł w sobie jakby ukąszenie tysiąca gadzin, szarpanie tysiąca szponów drapieżnych, ból tysiąca strzał co mię na wylot przeszywały! Serce ledwie nie rozsadziło piersi, umysł mrokiem obłąkania zapłynął. — Przebacz! przebacz! — wołałem. — Jam twój zabójca, aleś miał moje życie w twem ręku! Jam twój zabójca, lecz srogo śmierć twoją odpokutowałem! Jam twój zabójca!...

Krzyk straszliwy, bolesny Grazielli, krzyk rozpaczy, zgrozy, i obłąkania rozległ się koło mnie, wołając: *Maledetto! maledetto!* Wybiegłem na ulicę ścigany tem wołaniem przekleństwa. I zdawało mi się, że ktoś goni za mną z groźbą i szyderstwem, że jakieś olbrzymie skrzydła łopocą nademną, żeby pochwycić i unieść w obszary, że się ziemia trzęsie i rozpada pod moimi stopy, żeby mię pochłonąć! A ja biegłem, biegłem bez myśli, celu, pojęcia! biegłem, bo mię rozpacz niosła, obłąkanie parło, wichler pchał gwałtownie, powtarzając na różne łady i tony: *Maledetto! maledetto!* Ciemno było, czarno, okropnie do koła! Ciemno było, czarno, okropnie w mej duszy! Wzywałem błyskawicy, żeby mię przetrawiła, wzywałem pioruna, żeby mię skruszył i zgniótł na atomy, wzywałem topieli szalonej, żeby mię porwała, i pogrzyła w przepaściach. — Biły gromy ale nie we mnie! Topiel ryczała, miotając się w pieni- stem łożysku, ale mię oszczędzała. Śmierć nie chciała mię, choć

życie odpychało! Ale wulkan rozpaczy grzmiał coraz silniej w łonie, palił coraz dotkliwiej, rozlewał się we mnie wrzącą lawą, kipiał ognistemi prądy. Dłużej wytrzymać mocy nie stało! — Bądź zdrowa Graziello! — zawołałem i rzuciłem się w ciemną otchłań kanału, i wir wzburzonej toni uniosł mię od brzegu.

Poczułem zrazu chłód, świeżość, ulgę. Wał za wałem tłoczył się i pienił — wał za wałem kołował i szumiał. A jam płynął z niemi bez myśli, woli, kierunku, jak odłam skruszonego masztu, jak alg bezwładny, lekka zdobycz fali. Jam płynął nie dbając dokąd mię topiel unosi, bom czekał śmierci, pragnął śmierci, i wzywał jej całą mocą duszy rozpaczającej i znękaney!

Wkrótce zmysły tępieć zaczęły, siły opadły w omdleniu, i straciłem uczucie bytu.

Tu się zatrzymał baron Emanuel, i zatonął w milczeniu. Każdy rys twarzy jego drgał boleśną katuszą. Pamiątki wywołane opowiadaniem przesuwaly się gdyby czarne chmury po jego czole. Smutnej, nieszczęsnej przeszłości odkrył on przygody przedemną. Głębokie blizny serca odsłonił. Żał mi go było serdecznie, bo któż doznał tyle jak on? i tyle utracił? Kogo boleśniej zawiodły nadzieje, i los ukarał surowiej? Kiedy się ocknął z zadumania, i spojrział na mnie, twarz moja musiała wyrażać rzetelne spólcucie, bo ujął dłoń moją, ścisnął mocno, i na swem sercu położył. Poczem rzekł:

— Dość będzie na dzisiaj! Później dokończę moje opowiadanie. Potrzeba udzielić spoczynku dla duszy. Wspomnienia dzisiejsze nadto ją dotknęły.

Dzień skłaniał się już ku wieczorowi. Szczyt Kazbeka płonął pryzmatycznemi ogniami zachodzącego słońca, a wzdłuż parowów przemykały perłowe cienie. I cicho było dokoła! tak cicho, że słuch łowił każdy szelest gadziny w zaroślach, każdy ruch skorpionia na suchych mchach kamieni, każdy szmer powiewu co liście drzew i krzewów poruszał. Były to chwile pełne uroczystego czaru, kiedyśmy wybiegli na gościniec, polotnym pędem naszych koni, zagwaryły dalekie echa jaskiń i ciężkie szumy górnych lasów powitały nas z wysoka. Orzeł kołował w błękitach. Obłok, pielgrzym przestrzemi, spieszył usnąć w śnieżnem łożu Kasbeka. W baszłykach mroku, drzemały już po obu stronach gościńca, surowe postacie skał. Kur pienił się i miotał. Ruina Mschety wzdychała, a tentent naszego cwałowania witał ją i żegnał przelotnie.

W Tyflisie rozłączyliśmy się z baronem. On pojechał do

siebie na Awlaban, a ja pospieszyłem na plac Erywański, gdzie było moje mieszkanie.

Ledwiem zeskoczył z konia i pałasz odpaśał, nadbiegli kole-dzy i posypały się pytania: dokąd jeździłem z Aleksiejewem i poco? Skąd moja z nim znajomość i jak dawna?

— To dziwak! — mówili jedni.

— Odludek! mizantrop! — mówili drudzy.

— Zły kolega! — mówił stary szalawiła Gabryel Arsenjew ¹⁾ — nie grywa w karty i nie pije!

— Nikt go nigdy nie widzi, i nie słyszy — dodał żartobliwie Michał Glebow ²⁾ — czy nie upiór czasem albo wampir?

— Nie! — zawołał porucznik Brimmer — żaden upiór ani wampir nie potrafiłby tak rąbać dzielnie, jak on. Wolno wam panowie wymyślać na niego, co się wam podoba. Co do mnie, utrzymuję stanowczo, że mało pomiędzy nami takich żołnierzy, jak on, i takich kolegów.

-- Prosimy o dowody! — zawołano

— Nic łatwiejszego! -- ciągnął dalej Brimmer. — On mi wyratował życie.

— Gdzie? kiedy i jakim sposobem?

— Pod Achulgo, panowie! Czterech miuridów obskoczyło mnie w chwili, kiedyśmy szturmowali ostatni wał aulu. Kindzały i pałasze groziły mi zewsząd. Osłabiony krwi upływem, bo już byłem ranym, padłbym niechybnie ofiarą nierównego boju, gdyby nie mę-żny Aleksiejew, który naparł miuridów zniecka, dwóch zrąbał, trzeciego zastrzelił a czwartego strącił pięścią ze skały. Zgodzicie się panowie, że to był czyn dzielnego żołnierza i szlachetnego kolegi. Wszak prawda?

— I ja mam także coś o nim powiedzieć — rzekł książę Włodzimierz Kozłowski. — Podczas oblężenia Temir-Chan-Szury, kiedy nas Szamil tak ciasno opasał, że dla uniknienia głodowej śmierci pozjadaliśmy wszystkie nasze konie, a na desert psy, koty i szczury,

¹⁾ Rodzony siostrzeniec drogiego polskim sercom Bibikowa, wielko-rządca kijowskiego. Miał on żonę, Olgę Isleniew, którą ogołociwszy ze wszystkiego, rzucił pokryjomu i uciekł na Kaukaz. Ona umarła z nędzy w Radziwiłłowie — on z pijaństwa w Kargaczu.

²⁾ Adjutant naczelnego wodza Neidhardta. Zginął w boju z Cze-czeńcami.

jenerał Klukke von Klugenau zwołał radę wojenną, na którą sztab-i ober-oficerów³⁾ garnizonu zaprosił.

Głównem pytaniem było:

— Jak należało postąpić? — Czy oczekiwać odsieczy? — Czy poddać się?

W pierwszym razie głód doprowadziłby garnizon do buntu. W drugim hańba spadłaby na wojsko.

Żeby lepiej ocenić ważność kwestyi, wiedzieć potrzeba, że Szamil obsadził wszystkie punkta panujące nad twierdzą swoją artyleryą, która strzelała do nas jak do kaczek, skorośmy się na placu lub na wałach pokazali. Okoliczność ta, oraz ciasna blokada, były powodem że nie mogliśmy przesłać żadnej wieści o sobie jenerałom dowodzącym wojskami, żeby z odsieczą pospieszyli. Kilku śmielszych gońców zginęło. Kilku zręczniejszych powróciło nie spełniwszy polecenia. Słowem, tak było źle, że gorzej być nie mogło.

Kiedy jenerał Klukke zagał radę wojenną, długo trwała dyskusya, lecz niczem się stanowczem nie zakończyła. Każdy perorował, dowodził, a sensu w tem było nie wiele. Zniecierpliwiony tym brakiem racjonalności i moralnego hartu, Aleksiejew powstał z miejsca i zawołał:

— Wiele słów, a mało rzeczy! Tu trzeba jędrnego zdania, męskiej determinacyi, a nie pustej gawędy. Ratunek życia kilkuset ludzi nie jest głównem zadaniem naszym. Niech giną, byle honor pułku nie poniósł hańby! Czy tak panie jenerale?

— Nie inaczej! — przemówił jenerał.

— Otóż proponuję — ciągnął dalej Aleksiejew — dwa środki niezawodne ocalenia honoru naszego. Pierwszy: Zrobić ogólną wycieczkę, przebić się, lub zginąć. Drugi: wysadzić prochem fortecę i zagrzebać się pod jej gruzami.

Całe *plenum* rady, wspólnie z prezesem swoim oparło się energicznie temu heroicznemu środkowi wyjścia z trudnej pozycyi i ocalenia honoru chorągwi. Wprowadzono filantropię na scenę; nazwano poryw rycerski Aleksiejewa awanturniczością i donkichoty-zmem — płodem umysłowego zamętu i maligny.

— Tchórze! — zawołał męzny Aleksiejew z pogardą i oburzeniem. — Baby! — i wyszedł z izby posiedzenia.

Lepiej się stało zapewne, że nie postąpiono wedle zdania jego, bo nazajutrz rano jenerał Hurko wpadł na Szamila, zmusił go zdjąć

³⁾ W Temir-Chau-Szurze stał pułk Apszeroński piechoty.

pośpiesznie blokadę, i nas oswobodził. Ale poznaliście teraz co to za człowiek ten Aleksiejew i jaki z niego żołnierz.

W tej chwili nadszedł mój gość codzienny, pułkownik Bürno, człek bywały, wytrawny, wielu rzeczy świadomy, sławny inżynier, doskonały rysownik i karykaturzysta; a przytem narrator pełny gustu i dowcipu. O co byś nie spytał? wiedział. Jakiebyś nie nazwał miejsce? był tam. Jakabyś nie zagaił kwestyę? rozwiązał. — Słowem, była to osobistość wielkiej znakomitości w sensie artystycznym, naukowym, militarnym i społecznym a nawet i moralnym, bo miał serce, czego nie rzadkie dawał dowody.

Bürno pochodził z Sabaudyi. Znał doskonale włoski język, w równym stopniu francuzki, nieco słabiej niemiecki, a najslabiej rossyjski, którego nie lubił i tylko w razach koniecznych używał. Wielki książe Michał, brat cesarza Mikołaja, amator, jak wiadomo, ludzi dowcipnych i zdolnych, wyrobił dlań posadę głównego naczelnika inżynierów na Kaukazie, gdzie od lat kiku zostawał.

— O czem to rozprawialiście, *mes amis*? — zapytał, sadowiąc się na tureckiej ottomanie, przed którą wedle normy kaukaskiej, stały na stoliczkach kasztany w koszach i flasze kachetyńskiego wina. — Obiło mi się o uszy nazwisko pułkownika Aleksiejewa. O nim więc była mowa?

— O nim, rzeczywiście. — *Le connaissez Vous*? — zapytał dobry mój przyjaciel, Monnot Arbiller, konsul francuzki.

— *Si, je le connais*? — odpowiedział Bürno, zapalając fajeczkę, z którą się nigdy nie rozłączał. — Znam całą przeszłość jego, pełną straszliwych przygód i ciosów bolesnych; a znam ją z pewnego źródła, bo z ust najwierniejszego jego przyjaciela, poczciwego gaskończyka, niejakiego Figeac'a, którego żona — *une vieille Megère s'il en fut* — była moją krewną. Traf zrządził, że będąc w Wenecyi, stanąłem w tym samym domu, gdzie Figeac mieszkał z... Aleksiejewem. Byłem więc, mogę powiedzieć, świadkiem, a w części nawet uczestnikiem strasznego wypadku, co skruszył serce biednego Aleksiejewa i całą jego doczesność zawichrzył. Nigdy on mię nie widział, chociaż nie jedną godzinę przy łożu jego codziennie przypędziałem, zastępując Figeac'a, wycieńczonego trudem, niespokojnością i czuwaniem. Chory zostawał przez kilka tygodni pomiędzy życiem i śmiercią, w stanie zupełnej nieprzytomności. Rzucił się konwulsyjnie, miotał; rozdzierającym językiem boleści i rozpaczy przerażał nas i rozrzewniał. Szukał narzędzi śmierci, z myślą samobójczą, a nie znalazłszy, wrywał się

z rąk naszych, by głowę o ścianę roztrzaskać! Pozostałbym dłużej przy nim, gdyby nie konieczność powrotu do Rossyi, z kąd na dwa miesiące tylko, dla familijnego interesu wyjechałem. Odtąd straciłem Aleksiejewa z oczu. Żadna wieść nawet o nim do mnie nie dochodziła. Sądziłem że umarł.

Ćwierć wieku ubiegło. Z porucznika inżynierów, zostałem pułkownikiem; z młodego franta starym gadułą, który zapewne nieraz już wam dokuczył.

— *Fi donc, cher Colonel!* — zaprotestowano jednogłośnie. — A toż się godzi tak nas brać na fundusz? — *Pour qui donc nous prenez vous?...*

— *Pour tout ce qu'il y a de meilleur, et de plus aimable au monde!* — rzekł, uśmiechając się uprzejmie Bürno — i to com powiedział, nie ubliża bynajmniej tym przymiotom, jakie wam na mocy rzetelnego przekonania przypisałem. Ale to nie przeszkadza, żeby stary nie był czasami nudnym, nieznośnym nawet intruzem w gronie ludzi młodych, nieznoszących zwykle rozwlokłej i bezbarwnej narracyi, która się, być może, już i wam nieraz przez uszy przelała.

— *Corbleu!... Vous êtes incorrigible!* — zawołali, Monnot, Glebow, księżę Dawid Czawczawadze, a za nimi i inni. — Dość już tych preludjów! — Do rzeczy! do rzeczy!

Ponieważ takie wasze zdanie, opowiem historję tego biednego Aleksiejewa, trzymając się wiernie narracyi Figeac'a, ktorego nazwisko już wam wspomniałem.

— Prosimy! prosimy! — zawołano; i głębokiem milczeniem objawiła się baczność ogólna. Postać Aleksiejewa poczęła nabierać coraz większego znaczenia w opinii; rosła, poważniała i olbrzymiała, im się więcej z tajemniczości swojej obnażała. Przestano już nazywać go szyderczo, dziwakiem, mizantropem, odludkiem; lekceważyć jego smutek i surową oziębłość w stosunkach. On był mężny szlachetny — ale przytem nieszczęśliwy! — Czegóż potrzeba było więcej, żeby sobie zjednać szacunek i spólcucie? Jakoż baczność słuchaczy rosła w miarę tego, jak się pułkownik Bürno w swojej narracyi zagłębiał. Śmierć tragiczna matki Aleksiejewa, jego żal, przerażenie, rozpacz, w końcu solenne przysięgi zemsty, znalazły rzewny odgłos w sercach słuchaczy. Pod takim to hasłem wstąpił on na arenę świata! Cóż dziwnego, że się sny jego miłosne i nadzieje szczęścia huraganem rozpaczcy zakończyły? — Rzewnie i malowniczo oddał pułkownik Bürno tę scenę bolesną,

kiedy poznawszy w portrecie ojca Grazielli, rysy barona Arnolda ¹⁾, wpada w szal przerażenia, w zamęt straszliwej męki duchowej i ucieka z domu swej narzeczonej, żeby w toniach rozhukanego morza doczesność swoją pogrążyć.

— Późno już było — ciągnął dalej pułkownik Bärno — kanały i laguny szumiały pod naciskiem burzy. Pioruny były bez przerwy. — Aleksiejew nie powracał!

Figeac był niespokojny. Chodził chryzą kroki do koła komnaty. Smalił zawzięcie swoją nosohrejkę i językowi milczeć po zwałał.

Nagle wbiegł Fidelio, gondolier Aleksiejewa, błydy, drżący, wzruszony. Z długich włosów toczył się zród wody. Odzież miał mokrą, zmiętą i jakby poszarpaną.

— Prędeż! prędeż! — wołał głosem ochryłym — na miłość Boga prędeż!

— Co się stało? — krzyknęliśmy, biegnąc ku niemu.

— *Il Signor* leży w mojej gondoli. Wyciągnąłem go z morza i przywiozłem.

Pospieszaliśmy za nim.

Aleksiejew był rzeczywiście bez ruchu i prawie bez życia. — Włosy miał przesiąknięte wodą, splugawione mułem i rozczochrane. Twarz była blada, sina, wyrazem przerażenia i rozpaczki napiętnowana. Pięści miał ściśnięte. Odzież potarganą i mokrą.

Wnieśliśmy go.

Fidelio skoczył po lekarza. My tymczasem rozebraliśmy zemdlonego i położyliśmy do pościeli.

Pocziwy Figeac oniemiał z niespokojności i żalu. Krzątał się i biegał. Rozpalił ogień na kominku. Grzał serwety i ręczniki, któremi okładał chorego, żeby krwi cyrkulację obudzić, życie w bezwładnem ciele rozniecić.

I jam dopomagał jemu gorliwie. Milczeliśmy obydwaj. Nieszczęśliwe to zdarzenie przedstawiało się nam, nie jako dzieło ślepego trafu, lecz jako czyn unyślny, straszliwą jakąś boleścią spowodowany; czyn rozpaczki, podniesionej do stopnia obłąkania i szaleństwa.

Wkrótce powrócił Fidelio i wprowadził lekarza.

¹⁾ O szczególe tym dowiedział się p. Bärno później z ust Figeac'a, kiedy przybył do Rossyi z baronem Emanuelem.

Był to człowiek lat średnich, surowego wyrazu i postawy. Myśl głęboka usiadła mu na czole, gdy opatrzywszy chorego, do badania rysów przystąpił.

— Ten człowiek chciał umrzeć! — przemówił po chwili, jakby sam do siebie.

Domysły nasze znalazły żywe echo w tych słowach lekarza.

Środki zaradcze, czynnie i umiejętnie zastosowane, przerwały wprawdzie atonię fizyczną chorego, ale stan jego umysłu wielką w nas rodził obawę. W gorączkowym obłądnie władz moralnych Aleksiejewa, widzieliśmy nie jedną tylko cerebralną kongestję, ale rozstrój zupełny harmonii fibr mózgowych, gwałtownym ciosem duchowym spowodowany i wiodący do zupełnego pomieszenia zmysłów. Takim było przynajmniej zdanie lekarza. Gorliwie i głęboko śledził on stan swego pacjenta; z obecnych symptomów wnioskował o następnych; sięgał przezornem badaniem do samej głębi rezultatów reakcyi sił żywotnych przeciw chorobie, środków leczebnych przeciw oporowi niszczących pierwiastków w organizmie. Na chwilę nawet nie przerywał badania, nie odchodził od łoża, snując nie kombinacyi według rozumu serca i objawień sztuki.

(C. d. n.)

CZY JEZUICI ZGUBILI POLSKĘ?

II.

Dla cz-go Jezuici zajmują się edukacją młodzieży. — Podwójne zadanie edukacyi jezuickiej. — Jak zakon kształcił profesorów i nauczycieli. — Antynarodowość systemu jezuickiego. — Dzisiejszy system preparand nauczycielskich. — Skład szkół jezuickich, profesorowie i przedmioty w nich dawane. — Dla czego uczono tyle łaciny. — Klasycy w szkołach dzisiejszych i jezuickich. — Zarzuty względem zaniedbania historyi, literatury i umiejętności ścisłych. — Kilka uwag nad nowym systemem naukowym (pruskim). — Scholastycyzm i Jezuici. — Prace naukowe Jezuitów. — Strona moralna edukacyi jezuickiej. — Emulacya, koncertacye i kongregacye. — Popisy, dyalogi, sądy prawne, dysputy. — Zarzuty bigoteryi, szpiegowania i kar cielesnych.

Polska wszedłszy w skład państw Europejskich z końcem XI wieku, niepozostała nigdy w tyle za niemi, aż na lat kilkadziesiąt przed swym upadkiem, kiedy dezorganizacya wewnętrzna a przewrotność polityki sąsiadów doszła do kulminacyjnego punktu; wszystkie więc koleje, we-

wewnętrzne wstrząśnienia i próby przechodziła z cywilizowaną Europą, rozwijając swoje systema polityczne oparte na pierwiastku chrześcijańskim i indywidualnej wolności. Każdy ważniejszy wypadek zachodniej Europy znajdował tutaj odgłos, robił większe lub mniejsze wrażenie a niekiedy wywierał znaczne zmiany w Polsce — jedynie niechrześcijańska polityka gabinetów, ta nie zdołała się nigdy przyjąć na bujnym ale prawnym gruncie polskim. Tem mniej mogły przejść bez śladu gwałtowne wstrząśnienia religijne XVI wieku. Wrodzona Polakom wesołość granicząca z lekkomyślnością, właściwa im żądza naśladowania wyglądająca często na proste małpowanie, wygórowany dobrobyt materyalny i posunięta do swawoli liberalność konstytucyj przy stanowisku politycznym, jakie złączona z Litwą Korona w Europie zajęła: wszystko ułatwiało niezmiernie rozszerzanie się u nas doktryn i nowin religijnych z początkiem XVI wieku. Wszak już Wiclef i Huss mieli swoich zwolenników między Polakami.

Tym sposobem stało się, że Polska w XVI wieku mimo swej świetności politycznej na zewnątrz, przedstawiała smutny obraz wewnętrznego rozprzeżenia i rozdwojenia, tem smutniejszy, że przy niezmierniej swobodzie pojedynczych obywateli, przy niedostatku energicznej władzy, wszelkie zaradcze środki były niemożliwe. Z przestraszonym poglądem na taki stan rzeczy wszyscy światlejsi i gorliwsi obywatele. Ztąd takie mnóstwo politycznych pism wychodzących z pióra katolickich i akatolickich autorów, grożących w najświetniejszej epoce przedkim upadkiem, od którego tylko powszechna reforma Rzeczypospolitej uchronić może.

Patrząc na zaburzenia Niemiec i Francji, wnosili słusznie ci mężowie, że podobne krwawe sceny .zająć mogą i w ich ukochanej ojczyźnie. Niemogli od razu odgadnąć, że reformacja była u nas obcą rośliną i korzeni nie zapuści, a szlachetność i łagodność charakteru polskiego dawała im słabą tylko gwarancją w obec krwawych zawichrzeń zachodu.

Rozglądali się więc wszyscy za sposobami odwrócenia burzy, każdy według swego przekonania. Akatolicy widzieli jedyną ręką spokoju, w kościele narodowym, ale na niego zgodzić się nie mogli — katolicy, w ratowaniu i podniesieniu katolicyzmu zachwianego strasznie upadkiem moralnym duchowieństwa, natarczywością i obrotnością sekciarzy.

Otrzymał wtenczas katolicyzm nowy zastęp nielicznych ale lekkich i bitnych żołnierzy, który niebawem urósł w znaczną armią.

Było rodzaj wojska najniebezpieczniejszy dla nieprzyjaciela. — W zwartych szeregach jak falanga macedońska z mężstwem wiarusów rzymskich a lekkością polskich ulanów; potykał się konno i pieszo, na morzu i na lądzie z regularnymi pułkami i oddziałami partyzantki. Wódz, który stworzył te pułki, dał im broń i taktykę wojenną odpowiedną własnie naturze walki i przymiotom nieprzyjaciół. Tym bitnym zastępem byli Jezuiti. Posługiwali się nimi papieże w najtrudniejszych sprawach, wydzielali ich sobie królowie i biskupi. Gdzie największe niebezpieczeństwo, na straconą czatę — wysyłano Jezuitów.

Jednym z najskuteczniejszych środków, jakim posługiwała się propaganda nowinek religijnych, było ujęcie w swoje ręce wychowania młodzieży.

Akademie w Wirtembergu i Genewie a potem w Królewcu stały się ogniskiem herezy. Tak być musiało. Wychowanie młodych pokoleń jest walną dźwignią każdej propagandy bez względu na polityczną lub religijną jej cechę. Naturalnym wynikiem rzeczy starali się królowie i biskupi — starali się wszyscy którym katolicyzm leżał na sercu — zostać panami tak ważnego czynnika. Zrozumieli też Jezuita ważność swego stanowiska, przeto za jedno z najgłówniejszych swego powołania zadań, przyjęli wychowanie młodzieży, i w nie zbyt długim lat przeciągu przyszedli do posiadania w Europie dwudziestu kilku akademii i kilkuset szkół średnich czyli gimnazyów.

Polska jak w szerzeniu religijnych nowinek postępowała w ślady za resztą Europy, tak znów w rugowaniu tych sekt i w walce z niemi chwyciła się tych samych, co tamta środków. Z przyjęciem uchwał Soboru przez sejm piotrkowski z Hozyuszem i Jezuitami rozpoczyna się epoka reakcyi.

Hozyusz „luminarzem ultramontańskim“ przez naszych historyków nazwany, poznawszy Jezuitów z prac i nauki na Soborze Trydenckim i tych owoców, jakie z swej pracy w Niemczech zbierali — powziął pierwszy myśl, oddania zarządu swego seminarjum w Braunsbergu Jezuitom.¹⁾ Za jego przykładem poszli biskupi: Niesiecki, płocki; Protaszewicz, wileński; Konarski, poznański. W ślad za biskupami poszły rodziny magnackie i hojne fundacye Jezuitom czyniły. Na lat 10 przed kassatą liczył zakon 53 kolegiów i domów professów w Polsce a uczył w jednej akademii i 47 szkołach.²⁾

Wielka więc część wychowania publicznego, spoczywała w rękach jezuickich — zatem wielka część odpowiedzialności za następstwa ówczesnego wychowania spada na Jezuitów.

Powiadam „wielka część“ bo zupełnie mylnem jest zdanie panów literatów, że Jezuita ujęli ster wychowania publicznego, że cała edukacya młodych pokoleń im oddaną była. Oprócz akademii jezuickiej w Wilnie, istniały w Polsce dwie inne akademie Krakowska i Zamojska, których upadek najfalszywiej, jak się o tem na swem miejscu

¹⁾ Rostowski. *Hist. Societat. Jesu. Prov. Lith.* p. 12. Myśl ta przyjętą została przez Sobór trydencki. Na posiedzeniu 23 o reformacyi *Cap. 18 n. 34 declarationis* zalecono biskupom zakładanie seminariów pod kierunkiem kapłanów. „*Et si reperiantur Jesuitas caeteris antepomendi sunt*“. Jeżeli się znajdą Jezuita, tych nad innych przełożyć należy.

²⁾ Według ostatnich katalogów, cztery prowincye polskie miały tylko 4 domy professów: w Krakowie, Warszawie, Wilnie i Przemyślu. W 15 kolegiach istniały gimnazya z filozofią — a w 14 kolegiach i 10 domach mniejszych czyli rezydencyach gimnazya — zaś w 8 rezydencyach szkoły niższe.

Józef Bielski, Jezuita, w dziele „Widok Królestwa Polskiego“ wydanem w Poznaniu 1763 r. podaje liczbę kolegiów i domów professów na 53, rezydencyi 18, domów misyjnych 83.

przekonamy, przypisywano Jezuitom. Pod zwierzchnictwem krakowskiej akademii rozrzuconych było po całej Koronie 40 przeszło szkół średnich. Prócz tego Bazylianie, Dominikanie i Pijarzy otwierali szkoły w swoich klasztorach. Wtenczas nie znano jeszcze ministerstwa oświecenia lub komisji i rad edukacyjnych — panowała pod tym względem najzupełniejsza *liberté d'enseignement* — a ster wychowania trzymał ten, kto górował wiedzą i lepszą miał metodę wychowania.

Dlaczego biskupi polscy oddawali zarząd szkół pod kierunek Jezuitów, czego zaś szukali Jezuitci w wychowaniu młodzieży? To pytanie zadają sobie panowie literaci — a rozwiązanie jego dostarcza im obfitego materiału do miotania na zakon najsprzeczniejszych obelg i zarzutów.¹⁾

W gruncie rzeczy odpowiedź bardzo łatwa i prosta. Biskupi oddali szkoły kapłanom katolickim, Jezuitom, aby je usunąć z pod zarządu i wpływu heretyków, tam gdzie już istniały — tam zaś gdzie ich wcale dotąd nie było, jak na Litwie, aby wzniesić pierwsze fundamenta oświaty na gruncie katolickim.

Jezuici uważali edukacją młodzieży jako środek do ustalenia i utwierdzenia katolicyzmu — starali się więc przedewszystkiem wyrobić swych uczniów na mężów katolickich z przekonania i zasady. Było to błędem politycznym? Było to zdradą lub fanatyzmem? Było to skierowaniem oświaty do własnych celów i korzyści? Zobaczymy.

Od r. 1866, w którym otrzymała Galicya osobną „radę szkolną“ tyle się u nas o „edukacyi“ narozprawiano, tyle napisano, że już podobno nic nowego w tej mierze nie da się powiedzieć. Nic też nowego nie powiem — przypomnę tylko stare rzeczy:

Wychowanie jeśli nie ma być jednostronne, winno się zająć równocześnie kształceniem serca i rozwijaniem rozumu. Jedno z drugiem powinno iść w parze, ale większy nacisk należy na wykształcenie serca i na wyrobienie charakteru w takich zwłaszcza państwach, gdzie wszystko stoi nie instytucjami, ale ludźmi — jak właśnie było w Polsce. Bo mało się przyda nauka w człowieku bez charakteru, a w człowieku przewrotnym srogie kłeski rzeczypospolitej łatwo przynosi.

Tak pojmując wychowanie, kładli sobie Jezuitci za pierwsze zadanie: moralne wykształcenie młodzieńca — drugim zadaniem było wykształcenie naukowe, czyli innemi słowy mówiąc: w jezuickiej edukacyi szła najprzód wiara i cnota a potem nauka i wiedza. Jestli w tem co zdrowego, niepatryotycznego, fanatycznego — niech każdy rozsądny odpowie.

Ale żeby podwójnemu temu zadaniu należycie odpowiedzieć, potrzeba

¹⁾ Cóż np. pociesniejszego jak domysł w tej mierze „uczonego“ Maciejowskiego. W tomie II gim str. 69 piśmiennictwa polskiego czytam: „Sprowadzili ich (Jezuitów) biskupi polscy, sądząc że przez nich tylko będzie można na widoki Kościoła katol. dobrze nakierować oświatę“. Tym panom zawsze jakieś widoki w głowie. Ci kawym, jakie widoki miał p. Maciejowski, do których nakierował swoje piśmiennictwo polskie....

postarać się o zdolnych pod dwojakim tym względem mistrzów i nauczycieli. Uczynili tak Jezuici.

Dzisiaj, kiedy zawzięcie powstają na edukacją jezuicką, obarczając ją podwójną zbrodnią obskurańtyzmu i demoralizacji, kiedy tych krzyków pełne są nie tylko uczone pisma ale każda niemal polska książka do użytku szkolnej młodzieży przeznaczona¹⁾ a podobne zdania znajdują nieraz zatwierdzenie z ust profesora katedry literatury i języka polskiego: dzisiaj, sądzę „będzie na czasie“ podnieść kwestyą dawnej edukacji i poddać krytyce systema naukowego osławionego zakonu.

Mam przed sobą otwarty drugi tom Instytutu Jezuitów, artykuł: „Ratio studiorum.”²⁾ Nic nie powiem co nie stoi wyraźnie napisano w tym artykule Instytut zawiera to, co Jezuici mają najtajemniejszego, najistotniejszego — nadto, nie ma już nic wyższego, nic więcej utajonego. Mówię to dla tych, którzy wierzą w jakieś tajemnice, sekreta zakonu. Z tej więc najsekretniejszej księgi zakonu wyjmuje systema naukowego Jezuitów.

Pierwszem zadaniem systemu jest uformować zdolnych profesorów. Kształcił ich sam zakon. Po dwuletniej próbie i złożeniu ślubów młody zakonnik powtarzał raz jeszcze przez dwa lata humaniora³⁾, wertował klasyków łacińskich i greckich, wprawiał się w stylu łacińskim, greckim i polskim. Kilka razy do roku w obec licznego auditorium odbywały się posiedzenia literackie, akademiami zwane. Na takich akademiach odczytywano własne prace czyto na polu poezji czy wymowy — wygłaszano celniejsze miejsca z klasyków — poddawano analizie przedniejsze mowy Cicerona i Demostenesa — wykładano przy tej sposobności starożytności rzymskie i greckie i historią starożytności.⁴⁾ Akademie miały za cel, oswoić przyszłego profesora z publicznością — starsi zaś zakonu mieli tutaj sposobność poznać i ocenić każdego talent i zdolność — prostowali błędy, wskazywali kierunek, ażeby w danym razie mózgi użyć tych talentów i zdolności.

Mniej zdolnych do szkolnej katedry nie wyznaczano nigdy do uczenia szkół, zatrudniano ich po wyświęceniu na kapłanów kaznodziejstwem, słuchaniem spowiedzi, odwiedzaniem szpitali i więzień po rezydencyach i missyach.

Po skończonym roku humaniorów, następowały dwa lata filozofii, fizyki i matematyki. Nawet kto przed wstąpieniem do zakonu słuchał tych nauk, zmuszony był powtarzać je przez rok jeden przynajmniej, w zakonie. Którzy szczególny talent do matematyki, fizyki, filozofii lub nawet filologii (języków) okazywali, tym dawano rok jeden na pry-

¹⁾ Proszę np. wziąć dawne wypisy wyższego gimnazjum dla szkół austriackich.

²⁾ Jest to sposób nauk czyli system naukowy t. 11. str. 170—227.

³⁾ *Rat. stud. Reg. Provincialis reg. 18. Instituti pars 4. c. 5. § 2—3. c. 13. — c. 11. §. 1*

⁴⁾ *Rat. stud. sub titulo: Regula academicae Rhetorum et humanistarum.*

watne studium w jednej z tych umiejętności¹⁾. Po każdym roku filozofii trzeba się było poddać surowemu egzaminowi.

Niekiedy, według okoliczności i potrzeb, rozciągano filozoficzne, matematyczne i fizyczne studia na całe trzy lata, jak to wszystko i teraz ma miejsce w tym zakonie.

W ciągu kursów filozoficznych odbywały się co miesiąc dysputy zwane „menstruae“,²⁾ a z końcem kursów miał jeden z cenniejszych słuchaczy „akt publiczny z całej filozofii“³⁾.

Tak ukończony filozof przystępował do uczenia szkół niższych i średnich. w kolegium od prowincyała sobie naznaczonem: kilku jednak corocznie wysyłano na kursa teologii⁴⁾.

Te trwały lat cztery. Teologia dogmatyczna i moralna, prawo kanoniczne i kościelne, wykład pisma św. i Ojców świętych, historia kościelna i nareszcie orientalne języki, oto przedmioty naukowe zapelniające kurs czteroletni. Na kursie mniejszym dwuletnim wykładano całą teologię moralną i dogmatyczną; inne nauki, albo wypuszczano zupełnie albo dawano w skróceniu. Po każdym roku następował egzamin tym sposobem jak u filozofów; trwał zaś po pierwszym i drugim roku pół godziny (rozumie się dla każdego z osobna) po trzecim całą godzinę, a po czwartym roku przez dwie godziny. Ci tylko, którzy wszystkim tym egzaminom się poddali, ci tylko mogą uczyć z katedry filozofii i teologii

Tak formował zakon przyszłych nauczycieli pod względem naukowym.

Potrzeba było samemu przejść sześć ścisłych egzaminów, wysłuchać lat kilka nad książką, nieraz rok jeden i drugi poświęcić osobnej pracy nad tym lub owym przedmiotem⁵⁾ aby potem uczyć drobne dzieci gramatyki — lub z katedry wykladać wyższe nauki. Troskliwość przełożonych wysilała się na to, aby uformować jak najsposobniejszych nauczycieli.

Reguła prowincyała, czwarta, zaleca mu, aby wcześniej opatrzył zdolnych profesorów do każdego przedmiotu i „notował sobie tych, którzy do uczenia tego lub owego przedmiotu zdają się być zdolniejszymi, którzyby byli uczeni, pilni, niezmordowani i troskliwi o postęp uczniów tak w lekcjach jak w innych naukowych ćwiczeniach“⁶⁾. Inna znowu reguła nakazuje mu, aby miał w pogotowiu jak najwięcej stałych profesorów szkół niższych i średnich. W tym celu niech wy-

¹⁾ *Institutus pars 4. c. 15. §. 2. Reg. prov. in Rat. stud. reg. 17. §. 1.*

²⁾ *Rat. stud. sub titulo: Reg. theologorum et philosophorum.*

³⁾ Tamże reg. 56.

⁴⁾ *Congr. VII decr. 33*

„ XII „ 22—24

„ XIII „ 19.

⁵⁾ Często napotyamy w katalogach Jezuitów takie lub tem podobne wyrażenia: *Purat se pro decenda theologia v. lingua hebraica etc.* Takie lata prywatnego studyum są najżykrzejsze i najwięcej sił fizycznych pożerają.

⁶⁾ *Rat. stud. reg. prov. 4.*

znaczy ukończonych filozofów a nawet teologów zdolnych do tego zawodu i „niech ich upomina aby się całkiem temu zbawiennemu dziełu na większą chwałę bożą poświęcili ¹⁾.“

Z szczególną troskliwością starać się ma prowincyał o wprawnych profesorów filologii i literatury. Znakomitszych talentów ludzie mają wyłącznie temu przedmiotowi się poświęcić, w innych tyle tylko, ile koniecznie potrzeba ²⁾. Ich zaś pracą, nauką i wprawą ma być w prowincyi rzucony i pielęgnowany posiew biegłych nauczycieli humaniorów ³⁾

Młodym profesorom radzi instytut ⁴⁾ aby rozpoczynali nauczycielstwo od najniższej klasy postępując corocznie do wyższej z uczniami. Zaleca im także ⁵⁾ aby w chwilach wolnych zbierali się razem na posiedzenia naukowe, gdzie także o sposobie obchodzenia się z uczniami i udzielania im nauki rozprawiać mają.

Profesorom nie ma schodzić na dziełach uczonych i pismach. Dla tego instytut ⁶⁾ przepisuje prowincyałowi, aby „rocznie pewną kwotę pieniężną albo z dochodów kolegium albo z kąd inąd opatrył na powiększenie biblioteki — a tej summy nie wolno na co innego obracać.“ Podobnież roczną sumę wyznaczyć ma na dzienniki literackie do użytku profesorów, na muzea, maszyny fizyczne i inne rzeczy do szkół kolegium potrzebne ⁷⁾.

Z równą, owszem z większą, jeszcze starannością pracuje zakon nad ugruntowaniem w cnocie i moralnej zacności przyszłego nauczyciela. W ogóle wiedzieć należy, że u Jezuitów nie ma wartości ani talent ani wiedza, jeśli nie towarzyszy im odpowiedni stopień cnoty. To też w instytucie nie ma dosyć słów, upomnień dosyć, aby Jezuitie wbić w pamięć, że przedewszystkiem cnoty, i to prawdziwej, gruntownej cnoty szukać powinien. Wstępujący do zakonu przechodzą pierwszą trudną szkołę cnoty w nowicyacie, który nadzwyczaj jak u innych zakonów trwa bo całe dwa lata. Młodzi zakonnicy (scholastici) nie wychodzą z pod szczególnej opieki starszych, podczas długich nieraz lat nauk i

¹⁾ *Ibid. Reg. 24.*

²⁾ *Ibid. Reg. 22.*

³⁾ Przytaczam dosłownie tę ważną regułę: „*Ad conservandam humaniorum litterarum cognitionem et magistrorum veluti seminarium forendum binos minimum vel ternos habere studeat in Provincia his litteris et eloquentia praestantes. Quod consequet si ex iis qui ad haec studia idonei propensique sunt, non nullos sub inde huic rei dicare studeat, caeteris facultatibus quantum satis est excultos, — quorum opera et sedulitate bonorum professorum genus quoddam etc. etc. Reg. Prov. 22*

⁴⁾ *Ibid. reg. 29.*

⁵⁾ *Tamże reg. 30. — Reg. rectoris 9.*

⁶⁾ *Instit. p. 4 c. 6. §. 7.*

⁷⁾ *Rat. stud. reg. Prov. 33. —* Że reguła ta jak inne nie pozostała, tylko na papierze, dowiodła kasata. Bibliotekami i gabinetami Jezuitów wzbogaciły się wszechnice i szkoły, biblioteki i gabinety rządowe.

studiów przyzwyczajają się nadewszystko do ochoczej uległości położonym i swym profesorom, zachowując wszelako zawsze indywidualną godność. Reguly zalecają im usilnie czystość myśli i niewinność serca¹⁾. Wyjeżdżającym do kolegów na uczenie szkół nic tak nie wpaja się w rozum i serce, jak troskliwość o wzbogacenie duszy własnej pięknymi cnót przymiotami, bo jak się powiedziało, celem szkół jezuitskich nie tyle jest wiedza sama, jak wdrożenie młodych umysłów w słodkie jarzmo cnoty, — a trudno wsiewać drobne ziarenka cnoty temu kto nie jest cnotliwym.

Gdyby młody profesor nie miał żadnej innej instrukcyi, prócz tego doświadczenia jakie zebrał przez przeciąg lat nowicyatu i studyów, już to wystarczyłoby aby zdolnie i zrecznie prowadził dzieci. Kto umiał sam być dobrym uczniem, a umiał nie bez wewnętrznej z sobą walki, ten będzie wyrozumiałym dla uchybień drobnego wieku: ćwiczony lat tyle w szkole wytrwałej pracy, nie uchybi łatwo poryweckością, uniesieniem lub gniewem młodemu chłopcu. To panowanie nad samym sobą, wyczone przez długi lat szereg, uchyla wszelkie wybryki, jakich się profesorowie w uczeniu szkół zwykle dopuszczają, bo wszelki wyskok profesora ma źródło w tym braku panowania nad sobą i rozkazywania uczniom i wzruszeniom własnym.

Ale prócz tej szkoły doświadczenia, dają się przyszłym nauczycielom, liczne a bardzo trafne instrukcyje wykładu nauk i prowadzenia dzieci w szkole²⁾. Jeden z najgłośniejszych mistrzów w tej trudnej sztuce, ks. Juwencyusz, napisał osobny do tego komentarz pod tytułem „*Ratio discendi et docendi*.” Sposób uczenia się i nauczania. Nie wiem czy dzisiejszy wiek postępowy wydał równie znakomitą pracę w tym rodzaju³⁾. *Ratio studiorum* Juwencyusza znajdowała się w podręcznej bibliotece każdego profesora, była najlepszym w wątpliwych razach doradcą i przyjacielem. Prócz tego między profesorami młodszymi, a prefektem szkół lub rektorem domu, trwał taki przyjacielski, koleżeński powiem stosunek, że w każdej wątpliwości, tamci do tych, z otwartą ufnością udawać się mogli.

Nie pominiętą też została i strona polityczna w owych instrukcyjach jak w całym wykształceniu przyszłego profesora. Mówilem już o kosmopolityzmie Jezuitów. Jest to, że Jezuiti byli nieprzyjawnymi narodowościom, a ich edukacja nie była patryotyczną ale mnichowską. Jezuiti położywszy sobie za cel pracę nad zbawieniem dusz po wszystkich krajach pod jakąbądź formą rządu, postanowili w tym politycznym

¹⁾ *Reg. schol. reg. 1.*

²⁾ *Rat. stud. Reg. rectoris 9.*

³⁾ Sławny rektor uniwersytetu paryskiego Rollin, w znakomitem swem dziele: „*Traité de la manière d'enseigner et d'étudier les belles lettres par rapport à l'esprit et au coeur*” wyraźnie powiada, że gdyby był znał pierwiej *Rationem discendi et docendi* Juwencyusza, nigdyby się nie był zabrał do swej pracy — bo nie można nic w tym przedmiocie napisać doskonalszego nad to co napisał pedagog Jezuita.

składzie rzeczy, jaki tam zastali, zmierzać do swego celu. We Francyi i Niemczech, zastali monarchią — edukowali więc młodzież tak, aby ta rządowi krajowemu w monarchicznym ustroju służyć mogła, tj. na sprawiedliwych, sumiennych urzędników i dobrych powolnych poddanych. W Niderlandach, Szwajcaryi i Polsce zastali Rzpltą — usilowali więc kształcić młode pokolenie na prawych obywateli, umiejących cenić swoje wolności, lecz znających zarazem cały ciężar obowiązków wolnego obywatela. Słowem stosowali się do praw i zwyczajów tych krajów i miast w których przebywali. Ktoby żądał, żeby Jezuita służył jakiejś idei państwowej czy republikańskiej i z myślą przeprowadzenia tej idei wstępował do królestw i prowincyi, — żeby jednym słowem byli rewolucjonistami: ten żądałby rzeczy niesłusznej i niedorzecznej. — Niesłusznej, bo nie dla tego wzywali ich do siebie królowie lub obywatele, fundowali kolegia i oddawali młodzież, skarb kraju najdroższy, w ich ręce, aby Jezuita zyskawszy ich zaufanie i ustaliwszy się na dobre, wywracał ojezyste prawa i zwyczaje; ale na to, aby przy istniejących już prawach i zwyczajach kształcił pożytecznych krajowi obywateli. Niesłusznej powtóre, bo jakimże prawem śmie pojedynczy człowiek, śmie jakie zakonne zgromadzenie narzucać swoje polityczne przekonania ludziom politycznie wolnym, od niego nigdy nie zawisłym? Niedorzeczność bardziej jeszcze widoczna. Nikt rozsądny nie pozwoli we własnym domu gospodarować i wywracać wszystko obcym i przybyszom lub nawet komu z domowników — ukarze i wypędzi go od siebie. — Jezuita byli wypędzani, ale dawać słusznej przyczyny do tego rewolucyjnym swem postępowaniem nigdy nie chcieli i nie dali.

Nie wynika ztąd, żeby Jezuita jako indywiduum, nie mógł w swem przekonaniu ten lub ów skład rządu mieć za doskonalszy — i reguły wcale mu tego nie zabraniają, ale zabraniają mu i to bardzo rozumnie, w monarchii szerzyć pojęcia wolnych Rzplt i odwrotnie. Nie wynika i to, że gdzie prawo bezbożne i nieludzkie, aby Jezuita tam wpływu swego jeźli jaki mają, użyć nie mogli, na zniesienie lub złagodzenie prawa, jak czynili to w Indyach, Brazylii i u ludów dzikich, bo prawo złe nie jest prawem i obowiązywać nie może, jedynie przemoc, ta zmusza do ulegania bezbożnemu prawu.

Z tego stanowiska wychodząc, zakon kształcił młodych profesorów, nie na misjonarzy tej lub owej państwowej idei, ale ich kształcił tak, żeby oni sami potem zdolni byli kształcić młodzież na dobrych obywateli w tym składzie rządu jaki w kraju istnieje. Ztąd jedna reguła¹⁾ nakazuje nauczyć się języka tej krainy, w której mieszkają; druga zabrania ostro, objawiać jakiś wstręt lub uprzedzenie przeciw narodowości krajowej — zaleca zaś najwyższy szacunek dla ustaw i narodowych zwyczajów²⁾. System szkolny wypowiada wyraźnie, że

¹⁾ *Ad majorem unionem eorum, qui in Societate vivunt, majusque auxilium eorum, apud quos habitant, singuli adiscant ejus regionis linguam in qua resident. Reg. Com. 10.*

²⁾ *Caveant sibi omnes ab illo affectu quo aliae de aliis nationibus si-*

wychowanie młodzieży odpowiednie powinno być narodowym prawem i zwyczajom, Z tej też przyczyny zostawia instytut roztropności starszych,¹⁾ aby stosownie do potrzeb krajowych zmienili to lub owo w samym systemie. Kiedy przepisuje, jakie nauki mają być udzielane, jakie odbywać się mają ćwiczenia naukowe i niektóre nabożeństwa szkolne, dodaje zawsze: jeśli to nie będzie sprzeczne ze zwyczajami i pojęciami narodowemi. Jezuita zawsze szanowali narodowości, zawsze ulegali istniejącym rządóm jakowejbądź formy i dla tego legitymiści wieku przeszłego uważali ich za swoich — ale czcicielami tej lub owej idei, ale rewolucjonistami być nie mogli.

Podniosłem umyślnie i zatrzymałem się dłużej nad tym ważnym czynnikiem wychowania, nad wychowaniem samychże mistrzów i nauczycieli. Wiek bowiem dzisiejszy nie chce uznać tej troskliwości zakonni o moralne i naukowe wykształcenie najprzód profesorów — a jestże sam, nie mówię więcej, ale równie troskliwy o moralną zacność i naukowe uzdolnienie tych, którym oddał posady nauczycielskie i kazał z katedry wszechnic uczyć i kształcić młode pokolenia?

Nie chcę bynajmniej uwłaczać terazniejszym profesorom gimnazjum i wszechnic — ale pytam, gdzie są instytucje formujące zdolnych profesorów — a jeżeli są jakie — odpowiadają one wysokiemu zadaniu swemu? Polacy, ciemiężeni przez trzy rządy, zwałaliśmy zawsze całą winę na ciemiężycieli. Nie dawno (w latach 1865—1867) nasłuchaliśmy się na sejmie galicyjskim i naczytali w mnogich pismach i broszurach nieskończonych skarg i trenów na złe szkoły: — niedostatki wychowania wytknięte tam dobitnie, a główny ciężar winy przypisany nieudolności moralnej i naukowej profesorów. Zwracam przedewszystkiem uwagę na wymowe pismo p. Sawczyńskiego, umieszczone w *Przeглядzie Polskim*²⁾.

Ale jeżeli skarżymy się na niesumiennosc rządów, która edukacją posługiwała się w widokach swych germanizacyjnych lub zmoskwienia — jeżeli wypowiadamy śmiało wady i grzechy nauczycieli i dyrektorów szkolnych, nie przepuszczając nawet osobom i imionom — dla czegoż nie chcemy oddać sprawiedliwości Jezuitom i przyznać im jawnie wyższości w tej mierze? — Zakon Jezuitów kształcił przedewszystkiem cnotliwych, religijnych profesorów — tego nikt zaprzeczyć nie może; religijność i moralna cnota profesorów jest warunkiem koniecznym wychowania jeżeli się ono nie ma stać szkołą zepsucia i skoszlawienia charakterów — jak to się dzieje w Moskwie; to druga prawda, której znów nikt przeczyć nie może, tem mniej kto z nas Polaków, których ojczyzna stała wiarą i katolicyzmem i tylko na katolicyzmie odbudowaną być może. Z tych dwu niezbitych prawd wynika to, że zakon wypełnił jedną część obowiązku swego — czemuż mu tej zasługi odmawiamy, czemuż z niepojętą nienawiścią czy lekkomyśl-

nistre sentire aut loqui solant, quin potius et bene sentiant, et peculiari affectu diversas a sua nationes prosequantur in Domino Reg. Com. 30.

¹⁾ *Vide Reg. 39. Prov. in rat. stud.*

²⁾ *Przeгляд Polski r. 1866. — Grudzień.*

nością potępiamy i odrzucamy wszystko co jezuickie? A czasów naszych rzadki profesor z wiarą i religijnością — nieraz wobec dzieci pozwalają sobie panowie nauczyciele drwinek i przycinków na Kościół, duchowieństwo i praktyki wiary²⁾. My to nazywamy postępem — ale już zbieramy postępu owoce — naskarżyć się nie możemy na niemoralność i obyczajowe zepsucie uczniów, począwszy od szkół wyższych gimnazjalnych. Cóż dopiero mówić o nie bardzo zapewne budującym wrażeniu, szkodliwem nawet dobremu wychowaniu, kiedy pan profesor nie całkiem trzeźwy przyjdzie do klasy, lub uniesiony gniewem, miota przekleństwa i gminne wyrazy. Że takie wypadki wydarzają się, któż o tem nie wie? A o tych kubanach, sprzedajności i względach dla niektórych majątniejszych i zaniejszych uczniów, czy wiedzą koledzy? O, wiedzą dobrze, bo młodzież ma dziwnie przenikliwy umysł, a wiedząc pewnie o tem, nie nauczy się poczciwości i prawego charakteru. Zamilczę już o nienajprzykładniejszym życiu, brzydkich i ślizkich stosunkach, bo i o tem możnaby wiele powiedzieć — uczniowie patrzą na to, mówią i słyszą o tem — i mają mieć szacunek dla profesora lub nabyć zamilowania w cnocie?

Podobne wypadki u Jezuitów nie miały miejsca nigdy. Jezuiti uważani jako ciało naukowe, byli moralnie wyższymi od profesorów dzisiejszych. Uczniowie umieli doskonale ocenić ich poświęcenie — bo Jezuita - profesor żył jedynie dla szkoły i zajmował się edukacją nie dla chleba lecz z zamilowania — podczas gdy profesor świecki obarczony często rodziną, dzielić musi swoje poświęcenie między szkołę a dom, a nieraz dla tego tylko uczy z katedry, aby miał utrzymanie.

Ale może dzisiejsi profesorowie są uczeńsi od dawnych Jezuitów? Nie odmawiając wyższości naukowej indywidualom — a dając sąd o ogóle nauczycieli, nie mogę jak tylko wątpić o większej uczoności, głębszej wiedzy i erudycji dzisiejszego nauczycielskiego grona od starych Jezuitów. Przynajmniej sposób, w jaki kształcą się zwykle profesorowie, dostarcza mi dowodów słusznego powątpiewania. Nie przeczę, że prywatnemi usiłowaniami, kilku mężów przy znakomitych talentach stańło na wysokim stopniu umiejętności i wiedzy. Tych mężów znamy i wyliczyć możemy po imieniu — ale właśnie to dowodzi wyjątkowości stanowiska, które sobie zdobyć potrafili. Ogół profesorów jakże się kształci? Po skończonem gimnazjum, z światłem dojrzałości w rękach, z mętnem rozstrzelonem pojęciem o wszystkich naukach w głowie, zapisują się ci panowie na kurs filologiczny, który trwa lat trzy. Jak niedostateczne były tam pobierane nauki, jak fałszywie pojmovano umyślnie, czy nie naumyślnie, zadanie filologicznych studyów — o tem rozprawiano i pisano obszernie. Z miłą więc bardzo głową, przy skąpych zasobach wiedzy, bez żadnych prawie a przynajmniej bardzo niedostatecznych instrukcyach pedagogicznych, wychodził ukończony filolog na posadę nauczyciela - su-

²⁾ Jeden z profesorów na pruskiem katol. gimnazjum powiedział wobec uczniów: *Ich mache mein Kreuz, damit ich meine 800 Thaler bekomme.* Profesor był katolik. Mam ten fakt z ust wiarogodnych.

plenta — po kilku latach supletury, poświęconych wyłącznie temu lub owemu przedmiotowi, składał nauczycielski egzamin. Oto cała pedagogia. Każdy przyzna, że jeżeli prywatna pilność i szczególne do studyów zamilowanie nie przyjdzie owemu wykształceniu pedagogicznemu na pomoc — nauka i wiedza nie może być jak tylko mało znaczną. Do tego proszę niezapominać, że odkąd Jezuici przestali uczyć, wiek prawie cały upłynął. Wiek, tj. sto lat — a przez sto lat postąpili w naukach i wykształceniu umysłowem wszyscy — postąpiliby więc i Jezuici: kiedy więc mierzymy i porównujemy terażniejszy skład nauczycielskiego ciała z starymi Jezuitami, popelniamy niesłuszną, bo dzisiejsi profesorowie są bogatsi w doświadczenie, naukę i zasoby wiedzy całego wieku — a Jezuici o cały wiek jeden w tyle zostawieni.

Być może, że świeżo kreowana Rada szkolna doloży wszelkich starań o moralne i naukowe wykształcenie profesorów — przynajmniej to powinno być jej pierwszym zadaniem¹⁾. Życzę najpomysłniejszych skutków, poświęceniu i usiłowaniom Rady szkolnej — ale zapowiadam z góry, że wszelka jej praca będzie daremną, wszelkie nadzieje rozwijają się jak garść pyłu — jeżeli Rada nie potrafi wszczepić ducha wiary, religijności i prawdziwej pobożności najprzód w umysł profesorów, a w kształceniu jeżeli więcej będzie dbała o ich stronę naukową jak moralną. Jak długo polskie nasze dzieci będą kształcili ludzie, tak zwani zacni i poczciwi, ale bez wiary, edukacja publiczna nie przyniesie pożytku sprawie polskiej, która jest osią wszystkich naszych robót i zabiegów, bo nie będzie spoczywało na niej błogosławieństwo boskie. — Polacy! przedewszystkiem powinniśmy być katolikami!

Tyle mam powiedzieć o profesorach. Teraz powiem o składzie szkół jezuickich, o przedmiotach dawanych i sposobie prowadzenia uczniów.

Szkoły dzieliły się na niższe i wyższe²⁾; do pierwszych należały infima, grammatica, sintaxis, rhetorica i poësis; do drugich filozofia, teologia i prawo — razem pięć klas łacińskich, dwa lata filozofii, cztery teologii, prawa czyli palestry. Jeżeli w niższych klasach liczba uczniów była zbyt wielką, dzielono klasę na dwie szkoły³⁾. Bywało także, ale to rzadko i w większych tylko zakładach, że rok jeden tak zwaną „*parvam*“ przeznaczano na przygotowanie do infimy.

Czegoż i jak w tych szkołach uczono? — Mówmy najprzód o szkołach średnich czyli gimnazyach. Profesorowie tych szkół nazywali

¹⁾ Pisane to było r. 1868. Rada szkolna nie odpowiedziała oczekiwaniom kraju. Preparandy nauczycielskie są zawsze kamieniem obrażenia — profesorowie kształcą się po dawnemu, a obowiązki swoje pojmują tylko w obrębie murów szkoły. Na dobrych chęciach nie zbywało, ale nie umiano się wziąć do rzeczy — nie zawsze miano ręce wolne do działania, nie też dla moralności i karności szkolnej nie zrobiono.

²⁾ *Pars 4. c. 12. sub litera C. Congr. XX decr. 21 et 22.*

³⁾ *Dux scholae ejusdem gradus Rat stud. Preg. Prov. 21. §. 5.*

się „magistri“ i stali pod bezpośrednią zwierzchnością prefekta szkół, który jak się instytut wyraża, jest narzędziem rektora do dobrego urzędzenia studyów¹⁾. Instytut przepisał im nie tylko rozkład przedmiotów szkolnych, ale nawet rozkład godzin — podał szczegółowo sposób wykładania autorów i regul gramatyki, zadawania wypracowań i wypymania lekyi, urzędzenia szkoły w najdrobniejszych szczegółach, przepisy te były zachowywane od wszystkich i wszędzie. Mogę więc czytelnikom przysłużyć się najwierniejszym obrazem okrzyczanej pedagogii jezuickiej — niech czytają, ale razem niech bezstronnie o niej sądzą²⁾.

Profesor objawszy infimę, postępował z swymi uczniami aż do *sintaxis* — *rhetorica* i *poesis* miały zwykle osobnych fachowych nauczycieli, dla tego, że udzielanie humaniorów wymaga większych zdolności i dłuższej wprawy. Równie przyjętym było raz na zawsze w edukacji jezuickiej zwyczajem, że jeden profesor w swej klasie wszystkie przedmioty szkolne wykladał. To nie podoba się krytykom szkół jezuickich: dwie rzeczy tu cenzurują. Najprzód, że dzieci przyzwyczajwszy się przez lat tyle do jednego nauczyciela, przejmują się jego wadami i narowami pedanckimi, od których, profesorowie zwłaszcza klas niższych rzadko są wolni. Powtóre, że jeden profesor nie posiada tak rozległych w każdym przedmiocie wiadomości, aby mógł je z pożytkiem uczniów sam jeden wszystkie wykladać.

Odpowiadam na pierwsze. Wychowanie młodzieży szczególnie w latach dziecięcych, tj. do 14 roku, potrzebuje przedewszystkiem jednności w wychowaniu, tj. aby jedna troskliwa ręka pielegnowała owe drobne latorośle. Skoro jedna ręka będzie nadto naginała na prawo, druga na lewo, jedna nadto naleje wody, a druga przysypie nadto ziemi — latorośl skarłowacieje i zgoła uschnie. Stanie się wtedy z owem dzieckiem to, co się dzieje z wozem, kiedy go ciągną znarowione konie: jedna para naprzód, druga w bok — wóz się polamie

¹⁾ „*Praefecti munus est generale rectoris instrumentum esse ad studia recte ordinanda*“. *Rat. stud. reg. prof. stud. 1.*

²⁾ Jenerał Akwawiwa naznaczył r. 1584 komisję z sześciu Ojców, różnych narodowości, ale doświadczonych pedagogów złożoną, która system edukacyjny, nakreślony tylko w pierwszych zarysach przez św. Ignacego, uzupełniła i poprawiła. Po całorocznej pracy system był wykończony. Jenerał podał go jeszcze pod rozbiór i sąd innych 12 Ojców, a następnie pod sąd kongregacji VII. Jest to owe: „*Ratio studiorum*“ stanowiące integralną część instytutu, na które się już nieraz odwoływałem i jeszcze odwoływać będę.

Po restauracji zakonu, ponieważ umiejętności fizyczne, historyczne i literatury żyjących języków znacznie rozwinięte zostały, jenerał Rothan zmodyfikował r. 1630 *rationem studiorum* w ten sposób, że w niższych nawet klasach matematykę i historję, a w wyższych fizykę i literaturę wykładano.

Komisya z sześciu Ojców złożona, dokonała tej reformy. Nareszcie koło r. 1657 za ministerstwa oświaty hr. Thuna, jenerał zakonu Becks zgodził się na system pruski z jedyną modyfikacją filozoficznych nauk. Korespondencye jenerała z ministrem Austrii nie są dotąd drukiem ogłoszone.

albo będzie stał na miejscu; co się dzieje z obiadem, którego wielu kucharzy gotuje, — nie będzie co jeść; co się dzieje z majątkiem, na którym wielu gospodaruje — nie będzie ładu i składu. Dla tego rodzice kształcąc dziecko w domu, starają się najbardziej o dobrych gubernatorów i dobre bony, aby ich nie potrzeba często odmieniać, bo wiedzą, że taka zmiana szkodzi edukacji. Dziecka charakter dopiero formować należy — jakże on się uformuje, kiedy to dziecko w owych pięciu godzinach szkolnych wystawione jest na pięć różnych wpływów charakteru profesorów, i odbiera pięć różnych, często wręcz przeciwnych wrażeń. Czy nie słyszymy nieraz małych żaczków klas najniższych, jaki sąd, a dziwna rzecz, prawie zawsze trafny, wydają o swych nauczycielach. A ten, mówią, jest gniewliwym, tamten flegmatykiem, a tamten znowu zbyt sumienny i ostry, ten czwartym patrzy na wszystko przez palce, ten pobożny, ów ogląda się i stroi czuprynę w kościele. Czy nie tak? — proszę tylko pójść na stancye, gdzie stoi kilku uczniów razem i podsłuchać ich wieczorną pogadankę.

Teraz te różnorodne usposobienia i charaktery profesorów ma dziecko pogodzić w sobie, i do wszystkich się odrazu zastosować; temu musi lekcją odpowiadać prędko, temu powoli i z rozmysłem, przed tym stać musi wyprężone jak żołdat przed sierzantem — na godzinie tamtego wolno mu się rozwalać jak w kawiarni amerykańskiej, przed tym i słówka pisać, chociaż się jest najniewinniejszym — wielki crimen, a z drugim można się wyklucić, posprzeczać i wygrać sprawę, chociaż się istotnie przewiniło. I dopiero taka mieszanina ostrości i pobłażliwości w najróżnorodniejszych odcieniach ma formować charakter dziecka! Nawet przypuściwszy równą u wszystkich profesorów zaćność charakteru i równą troskliwość o wychowanie uczniów — i w tym razie mnogość profesorów w jednej klasie, szczególnie w szkołach niższych, nie może dobrze wpłynąć na uformowanie charakteru ucznia, a to dla tej prostej przyczyny, że umysłowe zdolności chłopca do lat 14, 15, jeszcze nie są do tyła rozwinięte, aby umiał korzystać z tych wielorakich, chociaż zbawiennych wpływów i te różne dźwięczne tony w piękną umiał zlać harmonią. Nikt mi nadto zaprzeczyć nie może, że najistotniejszym warunkiem edukacji jest poznanie charakteru dziecka, zastosowanie się do jego szlachetnych skłonności, nawyków, wyzyskiwanie nawet ujemnych stron — umiejętność odgadnięcia zachęć, pragnień i wrażeń, jakie na młodej duszy lagodny wyrzut, nagana lub kara uczyni. — Pytam teraz, jest-że wobec rozsądku możebną rzeczą, aby profesor udzielający przedmiotów w kilku naraz klasach, mógł w tych czterech, pięciu godzinach, które ma tygodniowo w jednej klasie, poznać charakter uczniów klas wszystkich? Zdarza się przecież często, że nauczyciel nie zna nawet z twarzy i imienia swych uczniów.

Z tych więc względów system edukacji jezuickiej chciał mieć jednego i tego samego profesora przy swej szkole jak najdłużej. Co więcej, w myśl systemu jezuickiego, idzie profesor z uczniami swymi w chwilach wolnych na przechadzki, na gry w piłkę i inne zabawy. U dziecka w czasach zabawy, wszystkie szlachetne popędy i

szpetne narowy występują tu z całą naiwnością, nieraz otwartością. Profesor może przy tej sposobności dokładnie poznać i przejrzeć charakter każdego, aby w dalszem prowadzeniu według zrobionych spostrzeżeń mógł się stósować. Nie jest to śledzenie, szpiegowanie charakterów w celu przesładowania dziecka lub szkodenia mu w klasach — bynajmniej, jest to rodzicielska troskliwość, chcąc poznać usposobienie dziecka, aby tej znajomości użyć ku jego dobru.

Zachowują to Jezuici francuzcy po dziś dzień jeszcze w swych licznych, ogromnych pensyonatach i konwiktach. Cały pensyonat, 400 do 500 chłopców, dzielią na trzy dywizye, biorąc za podstawę podziału wiek i klasę, każdą dywizyę oddają jednemu księdzu prefektowi — ten z nimi jest w sypialni, idzie z nimi do sali jadalnej, kaplicy, na przechadzki, zabawy, rekreacye i siedzi w muzeum czyli sali naukowej — słowem, wszędzie ten sam prefekt z nimi. On zna swych chłopczyków doskonale, oni jego także — jest ich ojcem, sędzią, kolegą, ale nigdy panem. Zawiązuje się ztąd nieraz taka serdeczna koleżeńska przyjaźń, że gdy ksiądz prefekt w skutek dyspozycyi starszych albo zmienić musi miejsce pobytu, albo umieszczony jest przy innej dywizyi, chłopcy rzewnie płaczą po nim, nieraz wyprawiają delegacyę do Ojca rektora, prosząc, aby im zostawił prefekta. Takich faworów doznają szczególnie Jezuici Polacy, wołają starszych, albo zbieganiem wypadków, rozrzuceni po francuzkich i niemieckich konwiktach. Takiego też przywiązania ze strony uczniów doznawali zawsze starzy Jezuici, jak to dzisiaj z pamiętników i w powieściach wyczytać można ¹⁾.

Zarzut o narowach i pedanteryi jezuickich profesorów, jest błahy i śmieszny. Bo szkół niższych uczyli zawsze prawie młodzi klerycy po ukończeniu filozofii, przygotowani do uczenia, jak powiedziałem, długą na sobie samych próbą i instrukcją biegłych pedagogów, a uczyli przez lat 3—4 najwięcej — u młodych zaś ludzi, profesorów, jak mówią, z igły, trudno szukać narowów pedanteryi. W dwóch ostatnich klasach byli profesorowie fachowi, których nie można obwiniać o narowy pedanteryi, nie obwiniając o toż samo dzisiejszych wszystkich profesorów, bo wszyscy są fachowymi. Zresztą pojąć nie mogę, jak nie można nie widzieć śmieszności tego zarzutu. Jeżeli uczniowie przejąć się mają narowami i pedanteryą jednego profesora, jeżeli od tych narowów rzadko są wolni nauczyciele, to przypuścić koniecznie wypada, że nierównie więcej na-

¹⁾ Przed 1848 r. Jezuici mieli gimnazya w Sączu i Tarnopolu, a uczyli według starej metody. Nieraz zdarzyło mi się mówić z ich uczniami; z największą czcią i rzewnem wspomnieniem wymawiali imiona swych profesorów; pytali z ciekawością o jednych, przypominali się łaskawej pamięci drugich. — Tymczasem ci, co pod Jezitami się nie uczyli, złorzeczyli ich szkołom — bo i takich wielu słyszałem.

Najwymowniejszem świadectwem, jak dawni Jezuici umieli zaskarbić sobie przywiązanie uczniów, jest Voltaire dedykujący swoją *Mirope* Ojcu Porę, Jezuicie, swemu „*chère maître*“ jak go nazywa.

będą narowów i pedanteryi od wielu profesorów, którzy w tej samej klasie mają godziny, chyba że przyjmiemy jakąś szczególną kombinacyą, w której te narowy i nawyki pedanckie wzajemnie znoszą się będą jak dodatnie i ujemne wpływy elektryki. Czy taka hipoteza nie jest śmieszną, niech każdy osądzi, a jednak pozostać koniecznie przy niej musi ten, kto dla obawy przejęcia się uczniów wadami jednego nauczyciela, gani i potępia zwyczaj przyjęty przez Jezuitów.

Na drugi zarzut niedostateczności wiedzy odpowiadam. Przedmioty szkolne dawane w niższych klasach nie przechodziły ani swoją mnogością ani rozległością wiedzy sił jednego profesora, dwie zaś klasy ostatnie miały swoich fachowych nauczycieli, którzy zwykle lat kilka jednych i tychże samych przedmiotów ucząc, mogli się w nich wydoskonalić. Dzisiaj jeszcze przy tym postępie fizycznych i matematycznych nauk, przy tej mnogiej liczbie szkolnych przedmiotów, dzisiaj jeszcze każdy nauczyciel gimnazyalny może w tych wielorakich galeziach nauk posiadać tyle wiedzy, że będzie w stanie sam jeden udzielać wszystkich przedmiotów w jednej klasie gimnazjum niższego z pożytkiem uczniów. Co możebnem tem bardziej było przed stu i więcej laty, gdzie przyrodzone nauki nierozwinięte wcale, w niższych klasach udzielane być nie mogły.

System jezuicki niedozwalając w klasie gospodarzyć więcej jak tylko jednemu profesowi — usuwał tem samem jeszcze jedną wielką niedogodność, trudną do uniknienia tam, gdzie każdy przedmiot osobnego ma nauczyciela. Fachowy bowiem nauczyciel pamięta o swym tylko przedmiocie i w nim żąda od uczniów wyszczególniającego postępu. Dzieje się więc, że uczniowie albo nadto bywają obciążeni pracą, gdy każdy swego, jakby tylko ten przedmiot był jedynym szkolnym przedmiotem, domaga się, albo w miarę gorliwości tego lub owego profesora więcej w mniej ważnych postępują przedmiotach, a zaniedbują inne; albo nareszcie raz nadto obciążeni zadaniami i pracą, drugi raz wybierają ze szkoły bez żadnego zadania i z małą tylko lekcją.

Że taka bezczynność w domu po szkolnych godzinach jest równie nieodpowiednią wychowaniu, jak przeładowanie pracą, tępiące młody umysł — nad tem podobno rozwodzić się niepotrzeba; że zaś dosyć często bywają wypadki takiego obciążania młodzieży pracą, a znów zupełnej od niej swobody — o tem przekonać się może każdy, sam też zapewne tego doświadczył w studenckich latach.

System jezuicki ograniczał się na małej liczbie szkolnych przedmiotów. Łacina zajmowała pierwsze miejsce; coś czasu poświęcano tak zwanym *accessorium* historii starożytnej, geografii i starożytnościom (*antiquitatibus*). Fizyki i matematyki nie uczono wcale po gimnazyach, tylko wyjątkowo; dwa te przedmioty należały do szkół wyższych filozoficznych.

Tu już trudno wyliczyć wszystkie zarzuty obskurantyzmu i pedanteryi. Poco tyle łaciny, pytają jedni: Alwara i tylko Alwara, aby zagwoździć głowy, wołają drudzy. Ojczystą mowę i literaturę tak zaniedbywać, tak podrzędne miejsce wyznaczać naukom przyrodzonym, nie jest że to zbrodnia przeciw ojczyźnie i naturze, wołają inni.

a wszyscy zgodnie z panem Szujskim krzyczą: Jezuici tępiłi umysł, tamowali wszelki podryw myśli, wkładając na nią żelazne pęta gramatykarskich przepisów i form pedanckich. „System w ich szkołach przyjęty mordował uczniów długą i powierzchowną nauką lichą łaciny, nienaturalnego stylu i złego smaku w wymowie... Wychowanie ich nie starało się o wytrzebieenie błędów społecznych, rozwój nowych zasobów narodowych i t. d.¹⁾“

Hola Panowie! powstrzymajcie impety wasze. Upředzenie i nieważić niech ustąpi na chwilę miejsca zimnej refleksyi.

Poco tyle łaciny? Poco tyle łaciny? Owi cenzorowie Jezuitów zdają się zapominać, że kiedy Jezuici w szkołach uczyli, był to czas Rzplty polskiej, której prawa i statuta były pisane, objaśniane i cytowane po łacinie, której konstytucye chociaż spisywane w polskim języku, przepełnione jednak były słowami i terminologią łacińską — a szlachta rządząca Rzpltą rozumieć musiała i tekst łaciński statutów i mieszaninę polsko-łacińską konstytucyi. Oto pierwsza odpowiedź na pytanie: poco tyle łaciny?

Zapominają ci panowie dalej, że w wiekach XVI, XVII aż do połowy XVIII wieku, zatem w epoce rozwoju i kwitnienia szkół jezuitckich, język łaciński był językiem uczonych, prawników, sędziów, senatorów, dyplomatów i królów. Niech mi ci panowie pokażą choć jedno prawdziwie uczone dzieło w innym jak łacińskim języku pisane? Nawet herezyarchowie Kalwin, Luther, Melancton, te dzieła swoje, którym chcieli nadać pozór uczoności, pisali po łacinie. Wykłady po pierwszych akademiach Francyi i Niemiec miewane były nie w innym, jak tylko w łacińskim języku. Korespondenye między mężami europejskiej sławy odbywały się w tymże języku — w tymże języku toczyły się ich rozmowy przy stole lub na posiedzeniach naukowych. Kaznodzieje królów i książąt miewali kazania w mowie łacińskiej. Nasz Sokolowski kazał przed Stef. Batorym po łacinie. W sądach i trybunałach język łaciński był językiem urzędowym. Dyplomacya nawet posługiwała się jak teraz francuzczyzną, tak wtenczas łaciną. Słowem wszystko co nie było chłopem — mieszczan niewyjawszy, wszystko mówiło, pisało, modliło się po łacinie. Był to duch czasu. Polska, która nigdy nie ustępowała w cywilizacji zachodniej — była owiana także tym duchem. Jezuici go nie wywołali, ale zastali go już jak wszędzie tak i w Polsce. a nie mieli żadnej potrzeby, żadnego obowiązku wyrzucania łaciny a zastąpienia jej mową polską, którą chcąc władać, dopiero sami wyrobić i wykształcić musieli.

To wszystko wiedzą a przynajmniej powinni wiedzieć krytycy Jezuitów a jednak pytają się: poco tyle łaciny? Nie jestże to czysta złość i przewrotność, wiedzieć o słuszności i prawdzie, a jednak wmawiać nieświadomym rzeczy, że źle robili Jezuici i gubili ojczyznę naszą, ucząc naumyślnie i to w swoich widokach, tak wiele łaciny, by tym sposobem szerzyć ciemnotę w narodzie?

¹⁾ Tom III. 245.

PRZEGLĄD LITERATURY HISTORYCZNEJ.

O PIECZĘCIACH DAWNEJ POLSKI I LITWY.

Napisał

TEOFIL ŻEBRAWSKI.

(4to. w Krakowie, w drukarni uniwersyteckiej. Zeszyt I, 1865 r. 71 str. i 19 tablic lit.; — zeszyt II, 1871 r. 54 str. i 15 tablic lit.)

Z nauk pomocniczych historii mało która u nas jest do tego stopnia zaniedbana, jak sfragistyka. Osobnych o niej dzieł dotąd zupełnie nie posiadaliśmy, rozrzucone tylko wiadomości znaleźć można w dziełach Czackiego, Lelewela, rysunki u Stronczyńskiego, Raczyńskiego, w statucie litewskim Działyńskiego i niektórych innych. Pisać więc o sfragistyce u nas jest zadaniem arcymozolnem, bo zbywa nam prawie na wszelkich pracach przygotowawczych, bo zaczynać trzeba prosto wszystko *ab ovo*, torować sobie samemu drogę, usuwać przeszkody, przeciskać się przez długi labirynt przypuszczeń i wątpliwości. Prócz tego praca nad sfragistyką i pisanie o niej pociąga za sobą znaczne koszta, bo dzieło sfragistyczne bez tablic obejść się nie może, ile zaś takowe kosztują, wiadomo każdemu kto tylko choć raz z podobną pracą choć pobieżną miał styczność: z zupełnem więc uznaniem bierzemy do ręki dwa pierwsze zeszyty sfragistycznego dzieła p. T. Żebrowskiego, z zupełnem uznaniem i trudności, które miał do przewyciężenia, a które go jednak nie odstraszyły, i mozolu i pracy, których nie szczędził dla dobra nauki naszej. Że jednak w pracy takiej nie było jeszcze można we wszystkim wypowiedzieć ostatecznych niewątpliwych rezultatów, że nie jedna przez autora podana wiadomość nie potrafi się ostać, jeżeli sfragistyka u nas jeszcze się rozwinię, o tem nie wąpi przedewszystkiem pewno sam autor; choćby jednak wiadomości te później niejednokrotnie miały się jeszcze zmienić i uzupełnić, to p. Żebrowski na zawsze będzie miał tę zasługę, że pierwszy niemal tknął się u nas tego pola, że pierwszy zebrał rozrzucone po różnych dziełach wiadomości i rysunki pieczęci w jedną całość, uzupełniając je sownicie rezultatami własnych swych sumiennych badań i spostrzeżeń.

Praca p. Żebrowskiego zaczyna się od wiadomości wstępnych i ogólnego poglądu na naszą sfragistykę. Głównie za tę część wdzięczni jesteśmy szan. autorowi, bo, jak już powiedziano wyżej, na podobnej pracy dotąd literaturze naszej zbywało. Na wszystkie wypowiedziane tutaj zdania nie zgadzamy się wprawdzie a nie jeden ważny i zajmujący szczegół pozostał nierozstrzygnięty a czasami nawet nie-
tknięty, mimo to jednak, nie wahamy się powiedzieć, że wstęp ten pana Żebrowskiego uważamy za bardzo cenny przyczynek do rozwoju zaniedbanej naszej sfragistyki. Najwięcej pewno niewystar-

czające i może, niech nam szanowny autor daruje, za pobieżne jest to, co autor mówi o kanclerzach. Wiadomości przez niego o przedmiocie tym podane mogą odnosić się tylko do późniejszych czasów (co zresztą sam autor nadmienia) a i tu, nie są wyczerpujące; te parę wierszy zaś, które poświęcił przedjagiellońskiej epoce, a mianowicie czasom Kazimierza W., są tak niedostateczne, niedokładne i błędne, że lepiejby może było je opuścić, jak tak pobieżnie traktować nader ważną kwestyę. Szanowny autor powiada, że jeszcze za Kazimierza W. bywało jednocześnie kilku kanclerzy, a mianowicie: krakowski, wielkopolski, łęczycki, kujawski i dobrzyński, z tych każdy załatwiał sprawy swojej ziemi, głównym jednak kanclerzem, czyli wielkim pieczętarszem był jeden z nich tylko, i to niewątpliwie krakowski. Szanowny autor myli się jak najzupełniej; najprzód za czasów Kazimierza W. nie było, jak powiada, pięciu kanclerzy prowincjonalnych, lecz siedmiu, w wymienionym szeregu bowiem opuścił autor dwóch: sieradzkiego i ruskiego. Dalej krakowski bynajmniej nie był głównym pieczętarszem, bo prócz siedmiu prowincjonalnych lub ziemskich kanclerzy egzystował jeszcze wyższy od nich kanclerz i podkanclerzy dworu lub jak później mówiono koronny. Na dowód moglibyśmy przytoczyć liczne wyciągi z dyplomatów, ograniczymy się jednak do paru: i tak w dokumencie z r. 1352. (Akta grodzkie i ziemskie, tom II, Nr I) czytamy między świadkami: *Florianus noster* (co tutaj znaczy *regius*, bo dokument wystawia król Kazimierz W.) *Cancellarius*; — a w dokumencie z r. 1364 (tamże Nr. II): *Datum per manus domini Janconis vicecancellary aule nostre*; wreszcie w dokumencie z r. 1348. (który będzie umieszczony w tomie III tychże aktów) czytamy między świadkami: *Sbigneus Cancellarius Aule nostre*. Z tego więc wynika, że za czasów Kazimierza prócz prowincjonalnych kanclerzy egzystowali główni, kanclerz i podkanclerzy, i że bynajmniej krakowski kanclerz nie był głównym pieczętarszem. W ogóle całą tę kwestyę o kanclerstwie wartoby podać sumiennemu zbadaniu. Nasuwa się w niej tyle pytań, które dotąd nie są rozstrzygnięte, że tak, jak dzisiaj rzeczy stoją, o sprawie tej jeszcze nie można sobie zrobić jasnego pojęcia. Jakie sprawy oddawano kanclerzowi, jakie podkanclerzemu, jakie kanclerzom prowincjonalnym? Jakie różnice zachodziły w kompetencyach tych dygnitarzy? Do jakich spraw używano pieczęci majestatowej, a do jakich większej lub mniejszej kanclerskiej? Jakie sprawy podpisywał (naturalnie później, bo do wieku XV włącznie nie ma podpisów na przywilejach) król a jakie kanclerz lub podkanclerzy? Wszystkich tych kwestyj autor w pracy swej nie poruszył, nie robimy mu z tego zarzutu, nadmieniamy tylko, że wartoby było zająć się niemi. Już Czacki w pierwszym tomie pism swych zajmował się temi pytaniami, stanowczej odpowiedzi atoli nie podał. I kwestya podpisów królewskich zajmowała tutaj Czackiego: najdawniejszy taki podpis króla zdaje się być ten, który znajdujemy na facsimilowanym dokumencie Władysława Warneńczyka umieszczonym w II tomie aktów grodzkich i ziemskich. W pierwszej chwili podpis ten uważaliśmy za podrobiony, przekonaliśmy się atoli z pierwszego tomu dzieł Czackiego (str. 275 wyd. po-

znańskiego z r. 1844), że już on miał w rękę przywilej tego samego Warneńczyka z takim samym własnoręcznym podpisem, jaki się znajduje na dokumencie w aktach grodzkich. „Pierwszy podpis króla — pisze bowiem tutaj Czacki — widzimy w archiwum koronnem z 1440 r. 13 stycznia przez Wład. Jagiellończyka świadczącym rodowitość rodziny *de Brzezi* i taki jest podpis *W. Rex.*“ Dla czego Warneńczyk dokument ten podpisał własnoręcznie, kiedy innych nie podpisywał, dałoby się może wytłumaczyć, ale by nas za bardzo oddalało od tematu naszego, musimy więc kwestyę tę odłożyć do innej okazji.

Po takiej pobieżnej wzmiance o kancelarstwie przechodzi autor do rozmaitych rodzajów pieczęci, używanych w kancelaryi królewskiej, a nasamprzód do tak zwanych pieczęci majestatowych lub majestatycznych. Kiedy szan. autor pisał swój wstęp, z rodu Jagiellonów znał tylko takie pieczęci Władysława Jagielly i Władysława Warneńczyka, a odtąd żadnej aż po czasy Jana Kazimierza. Teraz atoli pokazało się, że i Kazimierz Jagiellończyk używał pieczęci majestatycznej a z późniejszych Stefan Batory. Lwowskie archiwum miejskie bowiem posiada taką pieczęć Stefana bardzo dobrze zachowaną. Majestatyczna pieczęć Kazimierza Jagiellończyka zaś przechowała się tylko bardzo uszkodzona i oł dokumentu oderwana w archiwum kapituły krakowskiej. Rzecz zaiste dziwna, że mimo to, iż Kazimierz Jagiellończyk przez tak długie panowanie, tak ogromną ilość dokumentów, po dziś dzień zachowanych, wystawił, jednak dopiero po długim szukaniu potrafiiono znaleźć ten jeden okaz jego pieczęci majestatycznej. Z archiwów lwowskich n. p. żadne pieczęci tej nie posiada. Dla czego pieczęć ta stała się tak rzadką? Vossberg, sfragistyk niemiecki, w dziele swem o pieczęciach przypuszcza, że tłok tej pieczęci zaginął w bitwie pod Chojnicami w r. 1454, kiedy to Kazimierz dobywając tej twierdzy, poniósł klęskę z utratą wszystkich swych kosztowności, między którymi i tłok pieczęci majestatowej prawdopodobnie się znajdował. Tłumaczenie to Vossberga jest zdaniem naszym nadzwyczaj trafne i my przynajmniej zupełnie na niem polegamy, przypuszczając, że tłok ten wówczas zaginął i na nowo go potem nie zrobiono, a przez to później majestatycznej pieczęci tego króla już nie wyciskano; skutkiem czego, mimo długiego panowania króla, stała się nadzwyczaj rzadką. Nie rozumiemy dla czego tłumaczenie to zdaje się nie podobać p. Żebrowskiemu, przytoczywszy je bowiem (str. 52) dodaje z przekąsem: „Nie znamy żadnego z tłoków pieczęci naszych królów, zwłaszcza dawniejszych, któryby się dotąd w jakim zbiorze dochował: dla czego więc Vossberg o zaginięciu tego tylko wspomina? „Dla czego? odpowiedź na to nie trudna. Odcisków majestatycznej pieczęci Kazimierza Wielkiego, Władysława Opolskiego, Władysława Jagielly, Władysława Warneńczyka i innych znamy wcale nie mało, nie wiele nas więc obchodzi, kiedy i gdzie zaginęły tłoki tych pieczęci. Z odcisków majestatycznej pieczęci Kazimierza Jagiellończyka, mimo długiego jego panowania znamy tylko jedyny jeden, samo przez się więc nasuwa się pytanie, dla czego pieczęć ta jest tak rzadką? Panu Vossbergowi więc ze strony naszej tylko wdzięczność się należy, że na pytanie to

dał odpowiedź trafną i zadawalniającą, a przekąsu pana Żebrowskiego w tym wypadku jak najzupełniej nie rozumiemy.

Mówiąc o tłokach, jakich używano do wyciskania pieczęci, przytacza pan Żebrowski te, które się po dziś dzień przechowały i które sam widział. My z naszej strony do cennych tych wzmianek dodamy, że i w archiwum miasta Lwowa przechował się tłok starej miejskiej pieczęci, który przez długi czas aż do niedawna w archiwum miejskiem uważano za — strzemię (*sic!*).

Dalszych szczegółów wstępu p. Żebrowskiego tutaj nie podajemy, bo nie nastroczają one nam sposobności do krytycznych wzmianek. Pan Żebrowski podaje nam w nim wiadomość o najróżniejszych sfragistyki dotyczących szczegółach: o materyale pieczęci, o sposobie jak je wyciskano, jak je zawieszano, o alfabetach, koronach, infulach, herbach, zbrojach, których na nich używano, o kształcie tych pieczęci itd. itd. Od sfragistyki, że się tak wyrazimy, królewskiej, przechodzi, gdzie niegdzie także do sfragistyki prywatnej, tę atoli traktuje tylko bardzo pobieżnie.

Z całego tego dalszego ciągu wstępu potrącimy tylko jeszcze o dwa szczegóły. Na str. 7 mówi autor, że rozmaite barwy wosku u nas żadnego wyraźnego znaczenia nie miały ani wyłącznie do żadnego stopnia, godności, urzędu lub stanu nie były przywiązane; nam się wydaje, że orzeczenie to jest trochę za śmiałe i że dzisiaj jeszcze orzec nie można, czy rzeczywiście rzecz ta tak się miała, a nie inaczej. Dla czego n. p. pieczęć kapituły lwowskiej jest zawsze (mówię tu o czasie dawniejszym, wieku XV) wyciśnięta na wosku zielonym a pieczęć arcybiskupa lwowskiego, nieraz obok niej zawieszona, z a w s z e na wosku czerwonym? Czyby to nie miało mieć żadnego znaczenia? Czemu pieczęci majestatyczne Kazimierza W., Jadwigi, Władysława Opolskiego, Władysława Jagielly, Władysława Warneńczyka wyciskano zawsze na wosku koloru naturalnego? Czy można już dzisiaj po tak niedokładnych u nas jeszcze studiach o sfragistyce orzekać stanowczo, że kolor wosku, w dawniejszych naturalnie czasach, u nas nie miał żadnego znaczenia?

Drugi szczegół, o który jeszcze potrącić chcemy, jest następujący. Na str. 10 pisze autor: „Zwracamy uwagę na tę okoliczność, iż do proporcji ciała a tym mniej do rysów twarzy, żadnej na pieczęciach wagi przywiązywać nie należy.“ I na to orzeczenie zgodzić bezwarunkowo się nie możemy. Do proporcji ciała naturalnie znaczenia nie przywiązujemy, bo proporcji tych niezachowywano: a choćby je zachowywano, to niemogliśmy z nich wnioskować o wzroście przedstawionej osoby, tak samo jak na fotografii nieraz osoba nam się wydaje niską, choć w rzeczywistości jest wysoką i na odwrót. Rysy twarzy atoli zdaniem naszym przynajmniej starano się oddać wiernie na przedstawionych na pieczęciach popiersiach lub całych postaciach. Nie miałyby więc owe piękne portrety Matejki, robione z pieczęci, żadnej pod tym względem wartości? Jedyń przykład, pieczęć w a s a t e g o Warneńczyka, który przemawiać się zdaje za twierdzeniem p. Żebrowskiego, zdaniem naszym jeszcze decydować nie może, kiedy wszystkie inne

przykłady przemawiają przeciw niemu. Może rytownik umyślnie dodał Warneńczykowi wąsy, żeby postać królewską zrobić więcej mężką, mniej dziecinną.

Rozpisał się tak obszernie o ogólnym poglądzie na sfragistykę p. Żebrowskiego, że o dalszych częściach jego szacownego dzieła będziemy mogli pomówić tylko jeszcze w paru słowach.

Po ogólnym poglądzie na sfragistykę następują specjalne, bardzo staranne opisy 89 pieczęci od najdawniejszych aż do Stefana Batorego a do nich dodano 24 litografowane tablice z rysunkami tychże pieczęci. I tablicom pod względem staranności nie mamy nic do zarzucenia, choć nie są one zewnętrznie tak piękne jak te, które Działyński do dzieł swych dodawał a Kielisiński artystycznie wykonywał. Pan Żebrowski bowiem, niewątpliwie ze względów finansowych, musiał się uciec do litografii, Działyński zaś mógł je podać w miedziorytach. Nas osobiście z opisów tych najwięcej zajął opis pieczęci Jadwigi (Nr. 43). Taką samą pieczęć bowiem, bardzo dobrze zachowaną mieliśmy w tych dniach pod ręką z biblioteki hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego i daremnie łamaliśmy sobie głowę, coby znaczyły owe nad koroną umieszczone znaki. Pan Żebrowski wytłómaczył nam to jasno i wyraźnie.— Prócz tablic z rysunkami pieczęci dodał szan. autor do działu tego jeszcze bardzo udane fac simile dokumentu z r. 1228, dalej tablicę z rysunkiem przedstawiającym złożenie ciała św. Wojciecha i drugim przedstawiającym Mieczysława Gnuśnego przyjmującego w darze książkę od Matyldy księżniczki Szwabii; wreszcie tablicę z alfabetykami, koronami, mitrami, hełmami, berłami, pastorałami i orłami, używanymi na dawnych pieczęciach.

Dział drugi, dzieła p. Żebrowskiego zatytułowany: Rozmaitości, poświęcony jest ubylm w Krakowie kościołom, wiadomościom o książkach mieszczących w sobie wizerunki i ubiory polskie a wreszcie szkicom dawnych bitew w bibliotece hr. P. Moszyńskiego. I do tego działu dodane są udale tablice zawierające plany położenia kościołów w dawnym Krakowie, rysunki samychże kościołów a wreszcie dawnych ubiorów.

Taka jest bogata, starannie opracowana treść dzieła p. Żebrowskiego. My z naszej strony kończymy wypowiadając serdeczne życzenie, aby szan. autor nie poprzestał na tych dwóch zeszytach, lecz obdarzył nas wkrótce dalszym ciągiem królewskiej, a może i później prywatną sfragistyką.

Korespondencye „Przeglądu“.

Rzym, 11 lipca 1871 (spóźnione).

(JP) Kilka tygodni zapowiadano przyjazd do Rzymu Garibaldeggo, gazety rewolucyjne naznaczyły dzień przybycia dawnego dyktatora, a pewnego nawet wieczora wielkie afisze obwieściły miastu, że bohater z pod Mentany stanął już w stolicy królestwa włoskiego. Garibaldeggo jednak w mieście nie było, ale rząd użył manewru, by nieco oswoić rzymską populację z projektem jego przyjazdu, gdyż był mocno zaniepokojony tą niespodziewaną wizytą, a ludzie rządowi obawiali się trochę, by im ostatnia nie wybiła godzina. Garibaldi tymczasem zachorował na Kaprerze, a chociaż domyślają się, iż to jedna z tych słabości napoleońskich regularnie nadchodzących w krytycznych lub ważnych chwilach, niemniej jednak stolica została pozbawioną widoku dyktatora — i na ten raz blizka już może burza, nie nadeszła. Partya skrajna nie czuła się jeszcze dość silną, lub chwila nie była jeszcze dość sposobną, gdyż widocznie wstrzymano się trochę w tym pośpiesznym marszu, jakim dotychczas pędzono naprzód. I gdym po dwóch tygodniach niebytności powrócił do Rzymu, zastałem miasto nieco spokojniejsze i ulice trochę mniej pełne postaci, które niepokojem przejmują mieszkańców. Przyczyniły się równie nie mało do wyludnienia miasta i gorąca, zawieszające zwykle na dwa miesiące wszystkie interesa w Rzymie i zmieniające zupełnie jego postać, lecz bez danego rozkazu z góry, sam bruk rozpalony nie byłby powstrzymał niecierpliwych zwolenników komuny do sprostowania swych sił w nowej stolicy.

Położenie jednak Rzymu w niczem się nie zmieniło, bo upadek dzisiejszego rządu jest jedynie kwestyą czasu, chociaż rok nawet może się utrzymać. Gdy sekta uzna dzień jaki za sposobną chwilę do działania, zadanie jej nie będzie nawet bardzo trudne do spełnienia, gdyż i w tych ostatnich jeszcze czasach mógł się być rząd przekonać, że nie wzmocnił się przeniesieniem stolicy i nie czuje gruntu pod nogami. W wyborach municypalnych odbytych przed kilku dniami, jego partya odniosła zupełną klęskę, a lista jej ogłoszona na rogach ulic i w dzienniku *la Libertà* z małemi jedynie wyjątkami nie przeszła, mimo wszystkich pomocniczych środków, których szczerze bez żadnych skrupułów ministerjum używa. Organa rządowe nazajutrz po wyborach nie mogły ukryć swego niezadowolenia i przyznawały się z wielką goryczą do przegranej; niektóre wyraźnie mówiły, że w Rzymie będzie niepodobieństwo rządzić, bo nie ma się na czem oprzeć. Dodać należy, że ogromna większość wierna przyrzeczeniu „ani wyborcami, ani wybranymi“ (*ni elettori, ni eletti*) żadnego nie brała udziału, a rząd przekonać się wszędzie powinien był, że na to sprowadza tysiące ludzi na głośnie manifestacye, by własny przyśpieszyć upadek. W tym samym czasie w Neapolu, przeszła lista zupełnie rewolucyjna i partya radykalna wypowiada otwartą wojnę władzom administracyjnym. Dzienniki tu wychodzące, wszystkie, i większe i mniejsze, prócz jednej *Libertà* przez rząd utrzymywanej tworzą nieustanną opozycyą, systematycznie każdy krok rządowy krytykują, a w taki sposób przemawiają nie tylko o ministrach lecz i o osobie panującego, że jedynie tak stały rząd jak włoski, własnego bojąc się cienia, może dozwolić na propagandę do obalenia go zmierzającą.

Rząd widzi swoją bezsilność, i radby się ratował, ale środki, które wybiera dla popularności tak dziwnie słabe, że same wykazują niedołęztwo ludzi stojących dziś u steru nowego królestwa. By dawny papieżki rząd potępic, a własną podnieść wspaniałością, uwolniono temi dniami z więzienia naczelnika bandy rozbójników z siedmiu towarzyszami skazanymi przez papieski trybunał na całe życie do ciężkich robót i osadzono ich dla podeszłego wieku w domu przytułku i schronienia dla pielgrzymów, który Ojciec św. własnym kosztem zbudował, dla pobożnych przychodniów ze wszystkich stron świata. Przed kilku laty cała prassa rewolucyjna żądająca obalenia władzy świeckiej papieża, oskarżała przed światem rządzący Ojca św., tak niby słabe, że niezdolne utrzymać bezpieczeństwa publicznego własnych poddanych, niedodając jednak, że wysyłano umyślnie do Państwa Kościelnego całe bandy rozbójników, a pierwszym dziś aktem rządu włoskiego jest, uwalniać w nowej stolicy tych, co uwięzieni przez władze papieżkie, do robót ciężkich za rabunek skazani zostali. Kiedy w 1852 roku Ojciec św. litując się nad opłakanym zdrowiem jednego ze zbójców tej samej bandy, Marcina Parisella, kazał z więzienia do szpitala przenieść, rząd piemoncki upomniał się notą dyplomatyczną o takie naruszenie, jak wtedy uważał, stosunków międzynarodowych i publicznego bezpieczeństwa nie tylko Państwa kościelnego, ale i krajów sąsiednich, a dziś, gdy ten sam rząd w Rzymie panuje, wypuszcza na wolność zupełną i osadza w papieżkim dobroczynnym zakładzie naczelnika bandy i jego towarzyszy.

Gasparone znany jest bardzo dobrze w Rzymie. Dowodził niegdyś kilkuset ludźmi i popełnił w życiu mnóstwo morderstw, okrucieństw, palił i łupił całe wsie, długo bronił się ze swą bandą, aż wszędzie otoczony przez żołnierzy papieskich poddał się pod warunkiem, że na śmierć nie zostanie skazany. Sprowadzona ludność do Rzymu przez rząd piemoncki zachowaniem się swoim do zbójców okazała się loiczną; gdy zarosli w ubraniu jeszcze więziennem szli razem siedmiu po Corso, tłumy, te same co witały przejeżdżającego Wiktora Emanuela, podążyły za nimi z okrzykami *e viva Gasparone*, a gdy dwóch przechodzących urzędników rządowych zwracało uwagę pospólstwa, że ci sami mordowali niegdyś ich rodziny, rzucano na nich kamieniami i podwołyły się wiwaty na cześć rozbójników. Powinien się był przestraszyć rząd tym hołdem złożonym brygantom, ale przeraził on bardziej jeszcze spokojnych mieszkańców Rzymu. I słusznie, gdyż publiczne uznanie zasług *Gasparona* znalazło natychmiast naśladowców. Za czasów rządu papieskiego zdarzały się czasami napaście, ale drogi publiczne były przeciw bezpieczne, teraz od 20 września zaczęły się częstsze rozboje, i dziś ukazują się całe bandy na głównych traktach do Tivoli, Frascati, Monte Rotondo i niedługo samo miasto będzie odcięte od prowincyj. Sekta może liczyć na tych naturalnych pomocników, a ci co napadają karety, potrafią nieść w miastach pożogę, gdy wybiję ku temu godzina i ogniem oczyszczać będą świat ze strupieszalego starego społeczeństwa.

Jeżeli położenie rządu nie wesołe, to położenie kościoła smutniejsze. Chciałem dotychczas wierzyć, że ludzie, co tworzyli jedność włoską, kochali przynajmniej swe dzieło, że ci co targnęli się na spuściznę Piotrową, mieli przeciw pewną miłość w sercu swojej ojczyzny. Dziś i tej illuzji się pozbawiam. Ministeryum jedno po drugim się zmienia, ale ministrowie nie zapominają o własnych osobach. Wyliczają we Florencji ogromne majątki zrobione dopiero na urzędzie; teka ministeryalna służy za górę złotodajną, a podwładni nauczani

przykładem, zamiast o rządzie, pamiętają o własnych interesach. Disiaj Włochy wyrównały Rosyi, jeżeli jej nieprześcignęły; o niczem nie słyhać jak o kradzieżach publicznych, o sprzedawaniu głosu w parlamencie, o ucieczkach kasjerów. W przeciągu lat dziesięciu Włochy potrafiły zmarnować jedenaście milia rdów franków, ale też w przeciągu jednego tygodnia, w jednej prowincyi zniknęło trzech poborców z zebranymi podatkami. Dóbr kościelnych zabrakło, wszystkie dotychczasowe środki dostarczające pieniędzy ustały, więc zwrócono uwagę na klasztory i zakłady naukowe rzymskie, a w tych dniach nadejdzie podpisany przez króla dekret konfiskacyi majątku kilku zgromadzeń duchownych¹⁾.

W Watykanie tymczasem spokojuje, Ojciec św. zawsze z wypogodzonym czołem, zawsze swobodny, a jak zdrów na ciele, tak silny na duchu. W Watykanie widzą zbliżające się niebezpieczeństwo, illuzyj żadnych sobie nie robią i interwencyi cudzoziemskiej się nie spodziewają. Papież często powtarza „nie rachujcie na żadną pomoc ludzką“ ale właśnie dla tego, że władcy ziemscy opuścili stolicę Piotrową, kościół pewniejszy tryumfu. Nie dawno gdy Pius IX odbywając po ogrodach watykańskich zwykłą sobie przechadzkę, usłyszał niedaleko za murem głósy żądających jego śmierci, zatrzymał się chwilkę i spokojnie bez wzruszenia nawet, rzekł do otaczających go: czego ci ludzie chcą odemnie, a czy zwyciężą Kościół i pana Boga, gdy mnie w grobie zobaczą“ — i poszedł dalej. Nie, — nie zwyciężą, a Pan Bóg nie pozwoli, by Pius IX wszedł do grobu. Dał mu Pan przejść lata Piotrowe, da mu jeszcze, jak Simeonowi ujrzyć przed śmiercią wybawienie i tryumf, chociażby miał przed tem wejść po raz wtóry do katakumb lub szukać na wygnaniu schronienia. Nie dawno, temi dniami, gdy rzeźbiarz Tenereni, chcąc zrobić biust papieża, prosił, by mógł dla modelu przypatrzeć się i dotknąć czoła, i dziwił się piękności jego kształtów, Ojciec św. mu przerwał temi słowy: „Czy czoło piękne, czy brzydkie, to wszystko jedno, ale że twarde, to prawda, bo powiedziano o niem: *Dabo tibi frontem duriorum frontibus eorum.*“

Kraków, 28 sierpnia 1871 r.

P. Kraszewski obrał sobie snąć za szczególną specjalność kwestyę rzymską i ultramontanów polskich. Egzorcyzmuje on ich w każdym liście do *Kraju*, odsądza od czci, wyklucza ze społeczności narodowej, ogłasza ich odstępstwo. Jak sobie tę zawziętość wytłumaczyć u pisarza, który miał chwile katolickiego pocucia, jak świadczą dawniejsze jego pisma, który stawał w obronie Jezuitów w recenzyi swego *Notre Dame de Paris*. Zkąd ta zawziętość, ta chorobliwa manja, która doprowadza wzorowego pisarza do zapomnienia o loice, nawet o stylu, pogrąża w komunałach godnych niedouczonego studenta i szereguje z pierwszym lepszym krzykaczem tromtadracy?

P. Kraszewski odsądza całą arystokrację polską od charakteru narodowego, ogłasza pompatycznie jej dezercyę z obozu polskiego. — Jakiem prawem, dla czego tak wyrok ten straszny motywuje? — Oto dla tego, że jest w większości katolicką, że nie przebiera w tem co Kościół katolicki do wierzenia po-

¹⁾ Dekret już podpisany i w wykonanie wprowadzony został. (*Pr. Red.*)

daje, że nie odstępuje opuszczonego i odartego z wszelkiej władzy i mienia papieża, że zostaje wierną Głowie Kościoła. Ale jeżeli to jest dowód odstępstwa, to niechże odsądzi od polskości i lud polski, zwłaszcza poznański i litewski, niech piętnuje znamię hańby nie samego prymasa Ledóchowskiego, ale wywiezionych w głąb Rosyji biskupów, którzy swój ultramontanizm przypłacili wygnaniem — a wtenczas okaże się, że naród polski, naród p. Kraszewskiego, składają tylko odstępcy i zaprzańcy wiary, zmieszani z innowiercami. Gdyby chwila zimnego zastanowienia, gdyby chwila wnikięcia w ducha dziejowego narodu znalazła przystęp do tego nerwowego umysłu — wzdrygnąłby się autor przed loiczną konkluzją swojego rezonowania. Czy to patriota odsądza całą warstwę narodu od polskości dla jej przekonań religijnych, chociażby one były nawet błędnymi? My p. Kraszewskiego, równie jak tych nieszczęsnych co brali udział w Komunie, nie odsądzimy od polskości, bo chociaż w ich umysłach i poczucie polskie, zasady, tradycje i uczucia zatarte — nie mamy prawa rozstrzygać, czy oni po swojemu nie kochają Polski. My odstępca nazwiemy tylko jawnego dezertera, zdrajcę, za srebrniki się oddającego wrogom. A p. Kraszewski śmie identyfikować się z Polską, i ludzi, o których patriotyzmie do głębi musi być przekonany, zbyt bowiem wiele żył z nimi i zna dzieje naszego ducha narodowego, wyklucza z społeczności narodowej, dla tego, że w jego nie znajdują się stronictwie.

Dawno już temu, kiedy p. Kraszewski tak głęboko jeszcze się nie zanurzył, piszący był zaszczycony jego korespondencją. Pisał nam wówczas p. Kraszewski, że jest także katolikiem, ale nie według encykliki — odpowiedź brzmiała: że pojmuję, iż można nie być katolikiem, ale nie pojmuję, jak można być katolikiem z restrykcjami.

Od tej epoki loika protestancka wolnego wyboru aktów wiary doprowadziła p. Kraszewskiego do zaciekłości sekciarskiej. Dziś on jest katolikiem, ale nie według Rzymu. Niechże przyzna, że z większą słusznością można mu zaprzeczyć katolicyzmowi niż on zaprzecza całej warstwie społeczeństwa polskości...

Świeżo wystąpił redaktor drezdeński krakowskiego *Kraju* z artykułem wstępnym o kwestyi rzymskiej. Artykuł ten musiał w papierach autora przeleżeć się lat dziesięć, bo raczej stosuje się do sytuacji w r. 1860 aniżeli w r. 1871. Jest-to nizanka komunałów. kończąca się twierdzeniem, że mając wybierać między sprawą włoską a papieżem — powinniśmy wybrać tych sprzymierzeńców caratu, niżli Głowę Kościoła katolickiego. Szereg frazesów ogadanych i oklepanych nad miarę, grzeszących płytkością i złą wiarą, dziwnie odbija od podpisu poważnego pisarza.

Dla nas jest to przykrą psychologiczną zagadką, dla czego z szeregu pisarzy polskich, którzy jeżeli nie zaczęli, to przynajmniej zwykli w końcu utwierdzać się w kierunku katolickim — jeden tylko p. Kraszewski swój pracowity zawód kończy komunałami bezwyznaniowości, nienawiścią do Kościoła, którą daremnie chce ukrywać pod zasłoną nienawiści do stronictwa. To też on stanowi przejście, pomost z świetnej epoki literatury polskiej do epoki upadku i demoralizacji piśmiennictwa. Jest-że to walka z upadkiem własnego talentu i miotanie się ducha, który miał świetniejszy polot, choć zawsze nieco poziomy, że uwiązł w trzęsawisku skandalu i już z niego podnieść się nie umie.

W Krakowie cisza, pustki właściwe tej porze. *Kraj* objawił nagły zwrot ze stanowiska oicyzycyjnego, ku rządowi, co różnym powodom przypisują. Doczekał się już nawet w skutek tej nowej roli urzędowej, owych zarzutów ze strony *Dziennika Poznańskiego* o wynarodowieniu, wyparci się solidarności z emigracją i odstępstwo, w skutek pochwały słów namiestnika o emigracyi.

Wszystkie te przymilania i koziołki nikogo nie dziwią — tylkoby dziwiło, gdyby te przymilania odniosły swój skutek, bo czyliż się godzi używać takiego skalanego narzędzia chociażby tylko do celu uśmierzenia ducha opozycyi w skrajnem stronnictwie. Zwrot ten, który nastąpił po panegirykach dla postępu Rossyi, chociaż zdolny jest zwrócić z drogi opozycyjnej katonów demokracji krakowskiej, nie przeszkadza do snucia dalej przedży skandalu, do napaści przeciw ludziom i instytucyom, do plwania na wszystko, a najbardziej na Kościół i jego sługi.

Sprawa świętego Jana winnaby okryć wstydem Radę szkolną. Dokonała ona bowiem nie tylko nadużycia, nie tylko niesprawiedliwości, ale dopełniła dzieła konfiskaty rozpoczętej przez rząd rossyjski. Wiadomo bowiem, że klasztor ten jak i inne krakowskie, miał swoją dotację w dobrach, w Królestwie. Rząd rossyjski zajął te dobra prawem zastawu za pretensye swoje do rządu austriackiego. Rząd austriacki jako pośrednie wynagrodzenie, przyłączył do klasztoru szkołę miejską i nadał jej uposażenie. W skutek intryg pokątnych brudnego źródła, klasztor św. Jana, w chwili kiedy, i jako klasztor i jako szkoła z dawnego rozprzężenia zaczął się reformować, stał się przedmiotem prześladowania bezwyznaniowców, zasiadających w Radzie szkolnej, równie jak przedmiotem pocisków kalumnii dziennikarskiej. Rada szkolna arbitralnie odebrała szkołę i fundusz, będący wynagrodzeniem konfiskaty, dokonała zatem tego co Moskale rozpoczęli. Klasztor przemienił szkołę publiczną w prywatną, a liberalny *Kraj* podniósł wielki krzyk i w roli denuncyatora pytał, kto dozwala zakonnikom dalej utrzymywać zakład? Oto pojęcie-prawa i pojęcie wolności — więc uależało skazać na głód i nędzę biedne, prześladowane zakonnice i nie dozwolić im zarobku. *Czas* stanął w ich obronie, ale nie dosyć wyjaśnił całą sprawę.

X. Y. Z.

K r o n i k a .

Dzienniki nieprzyjazne kościołowi podniosły były krzyk z powodu wydanej przez komitet katolików rzymskich odezwę do całego świata, która wzywała wiernych do składek na sprawienie złotego tronu dla Ojca św. Była tam jeszcze i wzmianka, aby równocześnie złożyć Ojcu św. adres przynający Mu tutaj Wielkiego. Dzienniki massońskie w lot pochwyciły te odezwę i śmiesznością starały się ją okryć. Nektóre, jak *l'Indépendance Belge* widziały już w aktach publicznych Ojca św. podpisującego się wielkim. Pius IX dowiedziawszy się o tym projekcie, napisał list do senatora margrabiego Cavaletti prezesa komitetu, w którym dziękując Mu za Jego serdeczne do Stolicy św. przywiązanie, pomiędzy innemi mówi: ¹⁾

¹⁾ „Cały ten wyjątek bierzemy z listu zamieszczonego w *Czasie*“.

„Z sercem na ustach i z otwartością Ojca, który z całym przywiązaniem kocha swych synów w Chrystusie, odpowiem co do jednej i drugiej z tych ofiar. Co się tyczy kosztownego daru tronu złotego, przyszło mi zaraz na myśl użyć sumy, jaką uzyskać się da z ofiar katolickich, na korzyść młodych kleryków, których piekielna i niesłychana ustawa zmusza do służby wojskowej. Duchowieństwo jest złotym tronem, który podtrzymuje Kościół, i dla tego szczególnie przeciw duchowieństwu skierowane są siły obecnych panujących, działające za pomocą grabieży i prześladowań, a przedewszystkiem przez utrudnienie powołania do służby Bożej, z kądem coraz bardziej ścieśniają się szeregi w hierarchii kościelnej, które codziennie dziesiątkowane śmiercią i goryczami, pozostawiają ciągle próżnie nie mogące się zapęlnić z największą szkodą Kościoła Jezusa Chrystusa.

„Zdaje się, że obecni panujący wzięli sobie za zadanie niszczyć wszystko, a szczególnie to, co się odnosi do religii i Kościoła. I podczas, gdy obsypują pochwałami i nagrodami dla zachęcenia księży nieposłusznych przełożonym i odstępców od wiary, prześladowają z piekielnym systemem wielką liczbę dobrych, dla tego jedynie, że sprzeciwiają się doktrynom prześladowców i ich przeciwności chrześcijańskim rozporządzeniom. Lecz ślepi owi panujący idą drogą zguby, ponieważ głusi na głos sumienia i stawszy się szydercami ze zdrowych doktryn, które ich kłują w oczy, wstępują na ścieżki prowadzące do głębokiej przepaści.

„Mówiąc o wtórej myśli dodania wyrazu „Wielki“ do naszego imienia, przypomina mi się zdanie boskiego Odkupiciela Przebiegał On różne okolice Judei, przybrawszy naturę ludzką, a gdy ktoś podziwiając jego cnoty zawołał: dobry mistrzu! Jezus odpowiedział natychmiast: „Dla czego mnie nazywasz dobrym? Bóg tylko jest dobry.“

„Jeżeli przeto Jezus Chrystus, uważając się za człowieka, oświadczył, że Bóg tylko jest dobrym, jakże jego niegodny namiestnik nie miałby powiedzieć, że Bóg sam jest wielki? Wielki dla łask, jakimi obdarza tego namiestnika swego; wielki dla pomocy, jakiej udziela kościołowi swemu; wielki dla cierpliwości nieskończonej, jakiej używa względem swych nieprzyjaciół; wielki dla nagród, które gotuje wszystkim tym, co opuszczają drogi grzechu, oddając się praktykom pokuty; wielki dla surowej sprawiedliwości, jaką stosuje do karania niewiernych i wszystkich upartych nieprzyjaciół Kościoła.

„Powiedziawszy to, czuję potrzebę powtórzenia, co rzekłem powyżej, iż użyję pieniędzy, jakie wpłyną, nie na rzecz stolicy, lecz na korzyść kleryków; a powtóre, że chcę, aby imię moje wymawiano, jak zawsze, pragnąc, aby wszyscy powtarzali dla chwały bożej: *Magnus Dominus et laudabilis est*. Takie jest życzenie, jakie Ojciec objawia najukochańszym synom swoim, a wraz z życzeniem powtarza zapewnienia miłości i wdzięczności ku nim. Prawda, że trzem papieżom prawdziwie wielkim dawano ten tytuł, lecz nastąpiło to po ich śmierci, gdyż były wtedy jaśniejsze i spokojniejsze sądy ludzi.

„Ci więc niechaj pozostaną wielkimi w ustach i sercu wszystkich, podczas gdy ja z wylaniem serca daję wam, waszym rodzinom i wszystkim dobrym katolikom błogosławieństwo apostołskie.“

W Watykanie 8 sierpnia 1871.

PAPIEŻ PIUS IX.

Na list ten, mówi nasz rzymski korespondent, nie potrzeba komentarzy. Pius IX dla tego właśnie, że Wielki, tytułu nowego przyjąć nie chce. Ojciec św. dziękuje za miłość i przywiązanie swych dzieci, ale nie zasiądzie na tronie złotym, gdy kościół potrzebuje jego pomocy. Mało znanymi są u nas włoskie stosunki. Gdy wszystkie rządy protestanckie, schyzmatyckie uszanowały suknie i powołanie duchowne, jeden rząd włoski wydał prawo, którego i starożytne barbarzyństwo byłoby się wstydziło. Nie tylko, że powołani są do służby wojskowej seminarzyści, ale nawet kapłani, proboszcze, biskupi nawet, jeżeli wiek mają przepisany. Nie dawno temu do zakrystyi kościoła św. Klaudyusza do Ojców Zmartwychwstańców przyszedł żołnierz, chcąc Mszą św. odprawić i wykazał, że miał wszystkie święcenia, nauki teologiczne ukończył i jako kapłan, był przymusem ubrany w mundur i postawiony w szeregu. Wolno się wprawdzie wykupić, ale w kraju tak biednym, jak Włochy, gdzie duchowieństwo przez rząd obdarte zostało ze wszystkich dóbr i dochodów, gdzie nałożono podatek nawet na odprawiane Msze św., suma jest niezmiernie wielka i żaden ksiądz włoski nie posiada dzisiaj 3500 franków, by się uwolnić od służby wojskowej. Stolica św. przychodzi w pomoc, ale nie może wykupić wszystkich, więc serce ojcowskie Piusa IX odzywa się do swych dzieci, co go tak kochają, by składki obracali na podtrzymanie prawdziwego tronu kościoła, t. j. duchowieństwa — Świat katolicki odpowie głośno na prośbę swego ojca, otoczy dotychczasowy tron jego więzienny setkami młodych ludzi, co się służbie bożej poświęcą, a nowemu pokoleniu wpajac będą nauki Piusa Wielkiego; komitet nie żąda wiele, prosi, by każdy katolik złożył na jałmużnę kilka choćby centów, a prawo bezbożne w niwecz obrócone zostanie, kościołowi nie braknie kapłanów, lud mieć będzie pasterzy. Nie zdaje mi się, byśmy nie potrafili ponieść w darze Ojcu św. naszego tronu. z którego, jak tyle już razy, pobłogosławi krajowi i rodzinom naszym, aby w składkach całego świata katolickiego nie znalazł się i galicyjski grosz świętopietrza.

* * *

Wspaniałe gmachy Minerwy już stanowczo zagrabił rząd piemontycki. Co się stanie z ową biblioteką? Co z przepyszną świątynią, w której grobach tyłu świętych, tyłu wielkich leży mężów? Już dzisiaj w portykach klasztoru, na kurytarzach rozkwaterowane włoskie żołdactwo poniszczyło zupełnie owe piękne alfresco malowidła. Korespondent rzymski do *l'Univers'a* opowiadając o tym wandalizmie, podaje nam następującą rozmowę z jednym z Ojców zakonu św. Dominika: — Nie mogłem ukryć boleści mojej na ten widok i zawałam: Ojciec na czem się to skończy wszystko?

— Bez wątpienia, odrzekł mi on, minęły już kwitnące czasy dominikańskie, ogrody kościoła usłane są opadłemi i zeschniętymi liśćmi, — ale jesteście wieczni i drzewa wielkich zakonów przywdzieją znowu swoją szatę. Wszystkie wypadki wyraźnie to zapowiadają. Niebawem wielu przyjdzie szukać w klasztorach spokoju, wiary, słodyczy, modlitwy i pracy duchowej. Klasztory staną się tem znowu, czem były dawniej przed stu pięćdziesięciu laty; w Minerwie byli tak liczni zakonnicy, że wielu z nich nie znało się nawet. Jednego wieczora, pewien człowiek, odziany w nasz święty habit, wszedł, usiadł w chórze śpiewając i odmawiając pacierze razem z innymi. Zauważywszy pewnego zakonnika z wyrazem twarzy łagodnym i ascetycznym, zbliżył się do niego i rzekł:

- Chciałbym pojednać się z Bogiem, mój Ojcie, racz mnie wypowiedać.
 - Nie mam na to władzy, odparł zakonnik, jestem młody, jak widzisz.
 - Tę władzę, ja ci daję, rzekł nieznamy, ja jestem papieżem.
- Był to Benedykt XIII.

— Wierz mi, dodał Ojciec Dominikanin, piękne te czasy powrócą. *L'Internationale* na to może jest przeznaczona, aby nam je powrócić, uwalniając nas naprzód od terazniejszych panów, potem zaś sprowadzając zwrot nagły i stanowczy“.

* * *

W dniu 23 b. m. skończył Ojciec św. lata Piotrowe. Sale Watykanu przepełnione były w dniu tym, zbiegłymi z różnych stron Italii tłumami ludu. Obok starca, stały liczne zastępy młodzieży z całych Włoch przybyłej, obok dygnitarzy duchownych i świeckich, chłopcy składający Ojcu św. parę ciężko zapracowanych groszy i Transteweranin z rozpiętą na piersiach koszulą pokazujący Ojcu św., że jego serce bije gorącą miłością do Niego. Cały Rzym był w Watyku nie. Ojciec św. może dziś powtórzyć słowa poety:

„Rome n'est plus dans Rome; elle est toute où je suis.“

* * *

Kiedy we Włoszech i w innych krajach katolicyzm tryska pełnem życiem, to u nas z boleścią, ale prawdę wyznać musimy, wprost przeciwnie się dzieje. Dziennik katolicki utrzymać się nie może. *Unia* wydawnictwo swoje zawiesić musiała, prawda, że redagowaną była słabo, ależ nie ulega wątpliwości, że bezporównania lepiej od niektórych lwowskich dzienników, które skandalami tylko swoje wypełniają szpalty. Dziwna rzecz, w Królestwie Polskiem, w Warszawie, *Przegląd Katolicki* ma, o ile nam wiadomo, trzy tysiące przenumeratorów, mimo to że swobodnie pisać nie może i same tylko naukowo-religijne zamieszcza artykuły. *Tygodnik Katolicki* w Poznańskiem, zajmujący wybitne pod względem zasad katolickich stanowisko, służy lat już dwanaście dzielnie Kościołowi; a u nas dziennik codzienny utrzymać się nie mógł. — Czemu? — nasuwa się mimowoli pytanie. Długo o tem mówiłoby wypadło. Czytająca publiczność zwana inteligencyą, z imienia tylko w Galicyi katolicką — Szlachta, nie ta to, co w Królestwie, Zabranych krajach i Poznańskiem ¹⁾, konserwatyzm z potrzeby na licha się przyda gdzie niema żywej wiary. A reszta! dajmy już temu pokój. niechaj przyszłość sądzi — ona swobodniej o tem mówić będzie mogła. Widocznie jeden tylko nóż przyłożony do gardła ocuci nas z gnuśności może. Kto wie, czy niedoczekamy się go wkrótce!

* * *

Z Litwy. W miasteczku Podbrzeziu, w gubernii wileńskiej, zaszedł smutny wypadek. Było to w czasach okropnych, gdy Moskali napadła choroba, zwana w języku ich prawosławianami.

Dziki kniaź Chowański, wojenny naczelnik powiatu wileńskiego, z historyczną swoją setką kozaków był najgorliwszym apostołem szerzenia prawosławia. Napadał na wsie i miasteczka i środkami kozackimi narzucał ludziom

¹⁾ Są wyjątki, są, ale na palcach policzyć się dadzą.

prawosławie. Za jego staraniem ks. Strzelecki przyjął prawosławi, a z Podbrzezia zrobiono parafią prawosławną, której były proboszcz został proboszczem innego wyznania. Jednak większa część parafian oparła się nawet Chowańskiemu. Włościanie, nie mając w pobliżu księdza, dla dopełnienia swych obrzędów religijnych jeździli do Wilna.

Jeden z włościan sąsiedniej wsi, doczekawszy się syna, którego pragnął, dla ochrzczenia go udał się z żoną i kumami do Wilna, dokąd droga prowadziła przez Podbrzezie. Nieszczęście chciało, że się tam spotkał z apostołem Chowańskim. Ten spytał go, dokąd jedzie. Włościanin, niespodzianie zapytany, przyznał się, w jakim celu jedzie do Wilna. Chowański wpadł w okropną wściekłość. Jakto! wrzasnął na niego — ty... masz swoją parafią a wozisz dziecko na kraj świata?! Natychmiast do cerkwi!

Ani uwagi, ani prośby nieszczęśliwego ojca nie pomogły. Na miejsce włościanina, który nie chciał być chrzestnym ojcem dziecka prawosławnego z obawy, ażeby i jemu nie kazali przyjąć prawosławia, stanął sam Chowański. Obrządek się dokonał. Matka chrz. ze łzami w oczach oddaje dziecko ojcu do po całowania. Ojciec wziął je na ręce, spojrzął i z wyrazem wielkiej boleści rzucił o ziemię, mówiąc: „Niech lepiej ginie“ — Dziecko ani jęknęło.

Na rozkaz Chowańskiego porwano zaraz włościanina, trzymano go długo po więzieniach, namawiano do prawosławia, ale Litwin, twarda dusza, ani zastraszyć, ani też namówić się nie dał. Nareszcie uwolniono go a *Wil. gubern. Wiadomości* podały do powszechnej wiadomości, że taki a taki włościanin w miasteczku Podbrzeziu — ze zbytcej radości, iż ujrzał ukochane swoje dziecko prawosławnem, upuścił je na ziemię.

Tego samego dnia, kiedy się odbyła ta straszna ofiara, książę Chowański przy poncu u ex-księdza Strzeleckiego narzekał, że Litwini są zażarci katolicy.

Z *Wilna*, stolicy litewskiej, nadchodzą ciągle bardzo smutne wiadomości. Moskale chcą widocznie ze szczerem zniszczyć wszystko, co polskie, dla tego znęcają się nawet nad figurami i krzyżami po rozstajnych drogach stojącemi. Na każdego przyjeżdżającego do Wilna wywiera wielkie wrażenie widok gór piętrzących się za miastem. Z tych szczególnie wyróżniała się góra Trzykrzyżska, tak zwana od trzech krzyżów na jej szczycie, których wyciągnięte ramiona, jak gdyby błogosławiły stary gród Gedymina. Krzyże katolickie, tak wspaniale górujące nad miastem, były solą w oku tej carskiej tłuszczy. W skutek rozkazu wysokiej władzy żołdactwo, stojące w pobliżu Wilna, zrobiło nocną wyprawę i powywracało krzyże. Można sobie wyobrazić, jak przykrego wrażenia doznali mieszkańcy Wilna, gdy nie ujrzeli nad miastem krzyżów, do których oko przywykło od dzieciństwa.

(Orędownik).

* * *

List Cavoura do Mazziniego ¹⁾. Twórca jedności włoskiej lubił powtarzać wszystkim i na wszystkie wyspiewywać tony, podchwycony Montalembertowi frazes „wolny kościół w wolnym państwie“. Znaczna liczba katolików nie tylko wierzyła w prawdziwość słów piemontkiego ministra, ale owszem upatrywała

¹⁾ *Revue du Monde Catholique* le 1 Aout.

w nich zapowiedź nowej szczęśliwej dla Kościoła ery, który powiedzmy prawdę, pod ówczesnymi we Włoszech rządami nie zawsze się cieszył swobodą. Przenikliwsze atoli umysły, znakomitsi katolicki pisarze, przewidzieli zaraz czem to w rezultacie będzie ów wolny kościół w wolnym państwie. Dzisiaj wszystkie ich przewidzenia spełniły się. Mazzini wreszcie jak skoro Rzym już zagrabiony został, a papież uwięziony, niepotrzebuje już tajemnicą osłaniać więcej tych wszy stkich gorących pragnień i zamiarów z jakimi się ukrywali twórcy jedności włoskiej. W świeżej publikacji *Scritti di Mazzini*, dodatku do dawnych wydanych w Medyolanie, znajdujemy list Cavoura jeszcze 1851 r. do Mazziniego pisaną; umieszczamy go poniżej. Jestto nie tylko prawdziwy komentarz na owo hasło przez niego podniesione „wolny kościół w wolnym państwie“, ale co więcej przekonywa nas, że jedność Niemiec, upadek Francji, kommuna paryżka, wszystko to, dziełem tych sekciarzy, oni pracowali na to, a Cavour był tylko zdolnym wykonawcą ich poleceń. zręcznie przeprowadzał ich plany. Oto co czytamy:

„Socyalizm we Francji. Jedność Germanii, zabezpieczyć dopiero mogą niepodległość Italii. I tą dopiero drogą zdobędziemy wolność i niepodległość. We wszystkich więc tych trzech kierunkach, to rozwój jedneje idei, hasło wojenne teje samej walki.. Wołajmy wolności, wolności narodom, wolności wszystkim. Bo wolność jest religią, ale ta nie może pogodzić się ani z religią monarchów, ani z religią Papieży. Monarchia i papieztwo nie mogą nic przyjąć od rewolucyi, a my nie możemy nic przyjąć od monarchii i papieztwa. Potrzeba więc iść naprzód, albo zginąć. Cesarz i Papież stają nam na drodze. Więc niech ginie monarchia, niech ginie papieztwo! Ludzkość sama sobie jest monarchą i Papieżem. Każdy człowiek posiada w sobie władzę doczesną i władzę duchowną.“

Fanatyzm antireligijny. Najulubięszym zarzutem, jakim pewna u nas prasa przeciw katolikom występuje, jest zarzut fanatyzmu posuniętego aż do jawnej nienawiści tak wstrętnej i sprzecznej z duchem katolickim ¹⁾. W każdej filipice przeciw katolikom powtarzauo aż do znudzenia pytanie, ażali to jest ta miłość chrześcijańska, której wy (katolicy) apostołami być się mienicie? Otóż należałoby już przecie raz położyć koniec tak nieuczciwym, bo faryzeuszowskiemu sposobom szermierzenia przeciw katolikom.

My katolicy przyznajemy się do ultramontanizmu, fanatyzmu, jezuityzmu i jak tam sobie jeszcze nazwać nas chcecie, skoro te nazwy za jedno wzięte są, co katolicyzm, według katechizmu rzymskiego, a nie według katechizmu *Gazety Narodowej*. Ale wręcz przeczymy, żeśmy w pismach naszych i postępowaniu uchybili przykazaniu miłości chrześcijańskiej. Niech nam wykażą ci panowie po imieniu te korporacje i osoby, któreśmy w pismach naszych spotwarzyli i sponiewierali! Niech nam przypomną procesa o obrazę honoru i potwarz wytoczone!

¹⁾ *Gazeta Narodowa* z powodu zawieszenia *Unii* pisała właśnie, że my katolicy, a jak ona nazywa ultramontanie, potępiamy humanitarność a wszczepiamy tylko w duszę fanatyczną zawiść do bliźnich (!) *Kronika* Nr. 256 z 18 sierpnia r. b.

Skoro do korespondencji pewnego katolickiego pisma wkradła się relacya uchybiająca sławie doktora Giliewskiego, który miał wszystkie warunki, aby stać się przedmiotem tej nienawidzącej miłości naszej, o którą nas obwiniają, natychmiast, po przekonaniu się o błędzie, bo zlej woli nie było, pośpieszyła redakcyja z uroczystem odwołaniem. Tak nie robią ludzie, którzy miłują nienawidząc. Ale za to my tym panom, rzekomym apostołom miłości Chrystusowej, wykazać możemy po imieniu, numer po numerze cytując osoby i zgromadzenia przez nich spotwarzone, oczernione, a te potwarze i oszczerstwa w małej tylko części zostały przez nich odwołane¹⁾. Przypomnimy im tylko, Piusa IX nazwanego od nich zdrajcą, bo zdrajczko układającego się z Moskwą na zgubę Polski Ks. Prymasa Ledóchowskiego, nazywanego służalcem, czcicielem pikelhauby pruskiej, nikiemnikiem, zbrodniarzem! Przypomnimy im przesłizną doprawdy sprawę księży Zmartwychwstańców z W. Księciem Michałem, albo jeżeli to może być, jeszcze nadobniejszą sprawę Ubrykowej; bo już pominąć potrzeba owe arcymiłościwe korespondencye o Siostrach miłosierdzia, których część i sławę uszanować umieli nawet Bismark i protestanci pruscy, nawet Turcy, a tylko komuna paryzka, *Dziennik Polski* i w swoim czasie *Gazeta Narodowa* uszanować ich nie umiały; owe tłuste i więcej jak dwuznaczne dowcipy i żarty z innych zgromadzeń żeńskich, (których sława nieposzlakowana), dla których, choćby z prostej przyzwoitości, trochę więcej względu mieć należało. Przypomnijmy im jeszcze one doprawdy cudowne plody namiętności z epoki sejmu lwowskiego 1869 r. Czyliż było wtenczas choć jedno głośniejsze w ojczyźnie imię, któreby w tym lub owym dzienniku spotwarzone i kałem obrzucone nie zostało? Same nazwy (raczej przezwiska) stronnictw, któremi wtenczas dzienniki lwowskie tak grzecznie i skąpo szafowały, czyż nie są wymownem świadectwem chrześcijańskiej miłości tych panów?

A teraz któżby przeliczył pojedyncze osoby spotwarzone, a dopiero któżby wyrecytował ten cały przepyszny alfabet epitetów i przydomków, jak np. zfanatyzowany klecha, smalone duby, i t. d.? Na to kilkanaście kart druku potrzeba. W jednym z dzienników lwowskich w piersiącu maju t. r. naliczyliśmy kilkanaście korespondencyj oszczerczych; niektóre z nich dziennik ten zagrożony procesem, odwoływać następnie musiał. To tylko dla przykładu, bo wyczerpnąć tego bogactwa chrześcijańskiej miłości u tych panów niepodobna.

Niepodobna nam też skonstatować dokładnie liczbę tych niehonorowych o honor procesów, jakie chrześcijańska miłość tych panów przed sąd przysięgłych i publiczność wywołała. Przypomnimy tylko głośny z swego niepraktykowanego dotąd cynizmu, źle powiedziałem, głośny z chrześcijańskiej miłości proces dwu panów redaktorów, pewnych dwóch dzienników. Ile to tam było miłości bliźniego, ile to pięknych rzeczy ci panowie sobie w oczy powiedzieli! doprawdy, gdyby to nie byli redaktorowie dzienników apostołujących szczerą, czystą miłością chrześcijańską, toby ludzi takich nikt porządny do domu swego nie przyjął, niechcąc ubliżyć sam sobie.

¹⁾ Niedawno temu np. *Gazeta Narodowa* rzuciła potwarz na ks. Krechowickiego, że ten z ambony miał potępić patriotyzm, miał powiedzieć, że księży dobrzy, nie powinni kochać ojczyzny i t. d. A gdy brat ks. Krechowickiego upraszał o odwołanie, nieuczyniono wcale jego słusznym żądaniom zadość, i *Gazeta* śmie nam prawić o miłości chrześcijańskiej, ona, co do zwykłej sprawiedliwości, honoru i uczciwości nawet nie czuje się być zobowiązaną!

Otóż wiedzieć macie miłośni panowie, że dziś nie ma fanatyzmu religijnego, ale jest fanatyzm antireligijny, i ten niedozwala wam przejrzeć i poznać całego tego ogromu krzywdy, jaką na sławie ludziom i korporacyom całym wyrządza; nie dozwala wam dostrzedz nawet tak rażących niekonsekwencji i sprzeczności, jakiej próbkę dało jedno z pism waszych, które w artykule wstępnym umieściło te słowa: „Szkaradną i zbrodniczą rzeczą jest targać się na dobrą sławę nieposzlakowanych ludzi, i nie ma kary dosyć dotkliwej dla tych którzy, się dopuszczają tej zbrodni“ a w kronice tegoż samego numeru wydrukowało pamflet, na osobę kapłana i zakonnika. Pamflet, bo niemożna inaczej jak pamfletem nazwać artykułu, który niepodając ani jednego faktu, dwuznacznikami i tłustemi dowcipami szarpie dobrą sławę człowieka ¹⁾.

Prześciancież tedy rzucać kamieniami potępienia na nas katolików, kiedy sami wtajemniczeni w wielki spiszek europejski, pałacie nienawiścią ku wszystkiemu co katolickie, inaczej trudno wam będzie ująć piętna, nikczemnikom tylko właściwego!

* * *

Gazecie Narodowej powinszowanie. — Wyznamy — że od pewnego czasu śledząc bacznie *Gazetę*, zdawało nam się, że jakiś lepszy zwrot w niej nastąpił i że odtąd będzie się starała nieznacznie naprawiać to złe, jakie przez tyle lat szczepiła w unysłach czytającej ją publiki. — Cieszyliśmy się z tego prawdziwie, że dla dobra i przyszłości kraju ustąpią już miejsca te smutne gadaniny, jakimi wypełniane były szpalty *Gazety Narodowej*. — Spostrzegli się przecież, chwala Bogu, mówiliśmy sami do siebie, że pisząc przeciw Rzymowi, Ojcu świętemu, Ultramontanom, wtorują tylko swoją bassetlą, piskliwym głosem moskali. — Próżne nadzieje! — Obok sążnistej korespondencji książuła z *rue François I.* udatnych i powiedzmy prawdę, poważnych niekiedy feljetonów zamieszczanych w *Gazecie*, zawsze jednak, od czasu do czasu wychylić się muszą ukryte rogi panów pisarzy *Gazety Narodowej*. — Tą razą (Nro 267) rozbiór broszury pana Spektatora dostarczył wątku uczonemu krytykowi do powtórzenia filipik, któremi niegdyś w onej głośniejszej sprawie z księciem Michałem przeciw OO. Zmartwychwstańcom i Ultramontanom szermierzyła *Gazeta*. Cóż robić. — Widocznie, natura ciągnie ich do lasa. — Musimy przy tej sposobności powinszować p. Redaktorowi *Gazety* nowej godności, bo kasyera jezuickiego. — W dodatku do N. 266 ogłosił sprawozdanie, że procenta z kapitałów jezuickich w samej Galicyi wynoszą 200.000 florenów, więc kapitał wcale byłby pięknym. — Doprawdy być kasyerem tak bogatych panów jak Jezuitci galicyjscy, to rzecz prawdziwie zaszczytna. — Winszujemy jej najserdeczniej. — Oby tylko nie pokazał się później deficyt, bo w takim razie nietylko, że pan kasyer ze swego dołożył będzie musiał, ale i na *Gazecie* odbić się wszystko może!

¹⁾ *Dziennik Polski* — korespondencya z Tarnopola.

W NASTĘPNYCH ZESZYTACH

między innymi zamieszczać będziemy:

1. Cudowne miejsca w Polsce. (artystyczno-literacko-historyczne).
 2. Dziennik Poznański i Ultramontanie polscy (ciąg dalszy).
 3. Portrety pośmiertne przez hr. Z. L. D. — II. X. Biskup Łętowski.
 4. Lamartine, jego życie, dzieła wpływ, na społeczeństwo, przez p. Adama Krechowickiego.
 5. J. Maksymilian Fredro, jego życie, dzieła etc. napisał Dr. Skrzydylka.
 6. Poeci. — Wieszcz. — Dante i Mickiewicz. przez X. Jachimowskiego
 7. Gawędy o antropologii (ciąg dalszy).
 8. Bezkrólewie pod Batorem na 2 nieznanach dokumentach osnute. X. Polkowski.
 9. O metodzie scholastycznej, jej geneza, rozwijanie się i dojrzałość. (c. d.)
X. kan. Zygmunt Golian.
 10. Historia synodów w Polsce, przez hr. M. Dzieduszyckiego.
 11. O J. Leopolicie — X. I. Polkowski.
 12. Postępy Zoologii.
 13. Buchner — siła i materya, przez b. profesora b. szkoły głównej w Warszawie.
 14. Ciemnota wieków średnich — scholastyka, artyści, poeci, uczeni, uniwersyteta.
 15. Nowe odkrycia w środkowej Afryce (ciąg dalszy).
 16. Rzym i Londyn.
 17. Studium bibliograficzno-historyczne o wszystkich peryodycznych pismach w języku polskim, wydawanych w wieku przeszłym. X. Ign. Polkowski.
 18. Trzecie wydanie żywotów ŚŚ. Skargi. przez **.
 19. Dante Beatrycja i Wiergiliusz.
 20. O architekturze. Przez **.
 21. Tygodnik Wielkopolski — jego redaktorowie — ich wiedza — ich prace i szerzone przez nich zasady.
 22. Prelekcje historii kościelnej na Uniwersytecie Lwowskim.
 23. Nieszczęśliwi. (Ciąg dalszy).
-

Przegląd Lwowski

wychodzi dnia 1. i 15. każdego miesiąca
objętości 3½ do 4 arkuszy druku.

Przedpłata wynosi: w Galicyi ćwierćrocznie zlr. 2; półrocznie zlr. 4;
rocznie zlr. 8.

W Prusach, Rzeszy Niemieckiej i Wielkopolsce: ćwierćrocznie talarów 1½; półrocznie tal. 3; rocznie tal. 6.

We Francyi, Belgii, Włoszech i Szwajcaryi: ćwierćrocznie franków 7; półrocznie fr. 14; rocznie fr. 28.

Przyjmują także prenumeratę we Lwowie: Agencya „Czasu“ u p. Piątkowskiego, plac katedralny; księgarnie pp. Sayfartha i Czajkowskiego, oraz pp. Schmidta i Gubrynowicza; — w Krakowie księgarnie p. Jaworskiego p. Krzyżanowskiego; — w Poznaniu w księgarni p. Tytusa Daszkiewicza; — w Prusach w Ostrowie u p. Priebatsch'a; — w Paryżu rue de la Trinité 3. chez Mons. l'Abbé Léon Postawka.

U w a g a: Dla uniknienia opóźnień w przesyłce prosimy prenumeratę najlepiej nadesyłać wprost do Administracyi Przeglądu Lwowskiego w kamienicy kapitałnej l. 24.

Nakładem Wydawnictwa Przeglądu Lwowskiego

wyszła

PAMIĄTKA

25letniej rocznicy wstąpienia na Stolicę Apostolską

PIUSA ŚW. PIUSA IX.

Dostać ją można w Administracyi Przeglądu:

| | | |
|---|-----------|-------------|
| Cena egzemplarza na papierze holenderskim | | 2 zł. — ct. |
| na papierze listowym | | 1 „ 50 „ |
| na papierze zwykłym | | 1 „ — „ |

